Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 24 września 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID NR 39



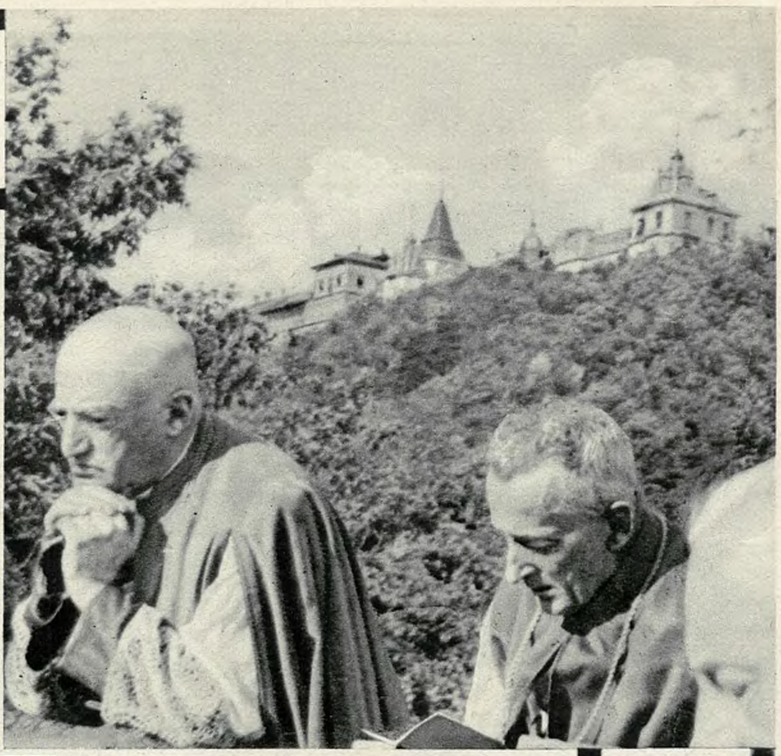
W OBLICZU ŚMIERCI. Ostatnie tragiczne wypadki, jakie zaszły w kopalniach węgla w Modrzejowie i w Janowie, przypomniały znowu społeczeństwu tę bezimienną armję górników, pracujących wśród najcięższych warunków pod ziemią. Na zdjęciu górnik przy pracy w kopalni węgla.

KOLLAR. „PHOTO 1932". PARIS

ŚWIĘTO POLSKIE NA KAHLENBERGU.



Polską armję na uroczystościach wiedeńskich reprezentował gen. Bolesław Wieniawa Długoszowski. Na zdjęciu widzimy go w towarzystwie biskupa polowego ks. Gawliny (po prawej) i biskupa pomorskiego ks. Okoniewskiego.



Widok na Kahlenberg. Na pierwszym planie arcybiskup ks. Teodorowicz (Lwów) i ks. metropolita arcybiskup Sapieha (Kraków).



Ks. Prymas kardynał Hlond w czasie Mszy św. na Kahlenbergu.



Ks. biskup Okoniewski, wygłaszający przemówienie na Kahlenbergu. Obok mownicy (po prawej) kawalerzy maltańscy z wielkim mistrzem hr. Hutten-Czapskim na czele.



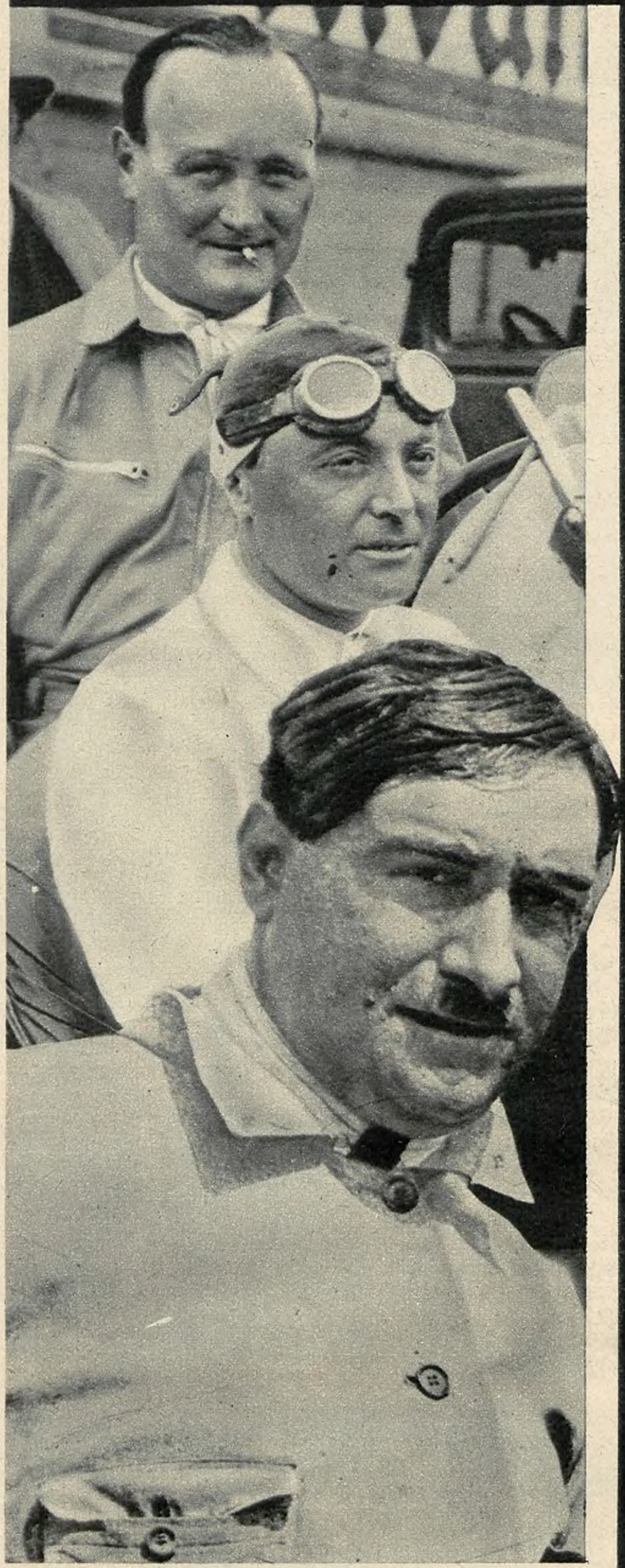
Hr. Stadnicki i Olgierd ks. Czartoryski wystąpili na Kahlenbergu w kontuszach.



Związkowy prezydent austrjacki dr. Miklas w otoczeniu dygnitarzy państwowych i duchowieństwa. Stoją od lewej: kanclerz dr. Dollfuss, arcybiskup wiedeński kardynał dr. Innitzer, prezydent Miklas i prymas Węgierski kardynał Seredi.

Wśród uroczystości, które odbyły się w Wiedniu z okazji 250-tej rocznicy odsieczy stolicy Habsburgów, jedną z najważniejszych był obchód na Kahlembergu. Odrestaurowana obecnie kaplica na Kahlenbergu, przyozdobiona pięknemi freskami polskiego malarza Rosena, zdawna była ogniskiem kultu dla zwycięskiego króla polskiego. Biorąc udział i w innych uroczystościach jubileuszowych, Polacy szczególnie licznie zjawili się na Kahlenbergu, a dzięki obecności najwyższych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, jak i austrjackiego, obchód ten przybrał charakter podniosłej manifestacji polsko-austrjackiej. Przybyłe z Polski pociągi kolejowe przywiozły licznych uczestników, z dumą wspominających na tem historycznem miejscu dziejową misję Polski, która — jak to właśnie podczas tej uroczystości z całym naciskiem stwierdzono — dwa razy ocaliła cywilizację zachodnią: w r. 1683 i w 1920.

ŚMIERĆ NA TORZE WYŚCIGOWYM.



Trzej znakomici kierowcy (od góry) hr. Czaykowski, Borzacchini i Campari, którzy zginęli wskutek wypadków na wyścigach w Monzy.

W ubiegłą niedzielę w Monzy (Włochy) na słynnym torze wyścigowym odbyły się wyścigi automobilowe o wielką nagrodę Włoch przy udziale najwybitniejszych kierowców Europy. Trasa obejmowała 500 km.

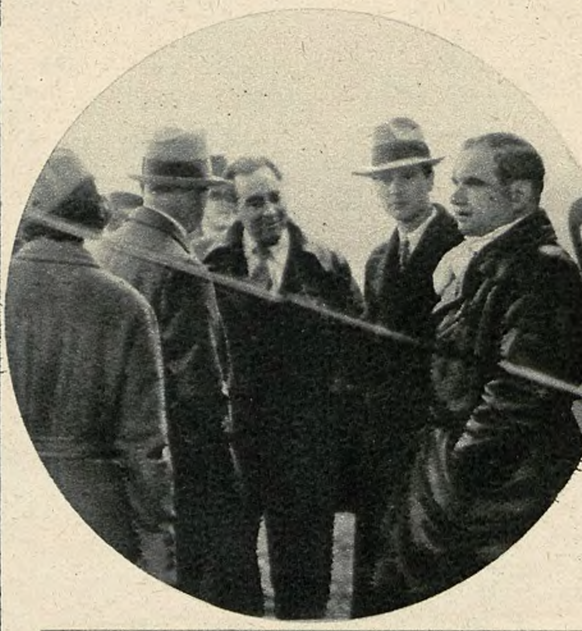
Wyścigi te zakończyły się śmiercią trzech kierowców, którzy mieli za sobą szereg rekordów i reprezentowali ekstra-klasę. Pierwszy z nich Campari wypadł z toru na krzywiźnie i zabił się na miejscu. Jadący za Camparim Barzacchini zahamował nagle, wskutek czego wóz zrulował i uderzył o drzewo. Ciężko ranny Barzacchini żył jeszcze 20 minut, poczem wyzionął ducha.

W trzecim przedbiegu na tej samej krzywiźnie wypada z toru wóz hr. Czaykowskiego i staje w płomieniach. Na nic zda się wszelki ratunek, kierowca zostaje żywcem zwęglony.

Jak przypuszczają, powodem katastrofy było oblanie toru na dużej przestrzeni oliwą, wskutek czego wozy ślizgały się.

Zaznaczyć należy, że hr. Czaykowski w ostatnich latach ustanowił szereg rekordów światowych, m. in. na przestrzeni 100 km. na torze niemieckim Avus.

W PRZELOCIE PRZEZ POLSKĘ.



Lotnicy francuscy Codos i Rossi po przylocie na lotnisko warszawskie.
Fot. „Światowid".

powietrza i fachowcem w tej dziedzinie.

Codos i Rossi, którzy wystartowali do lotu długodystansowego zatrzymali się w Warszawie na wiadomość o katastrofie polskiego samolotu na Syberji i czekali na przyjaźniejsze warunki atmosferyczne.



Olbrzym powietrzny, którym przyleciał do Lwowa francuski minister lotnictwa p. Cot. *Fot. Solak, Lwów.*



Goście francuscy w rozmowie z oficerami we Lwowie.
Fot. Solak, Lwów.

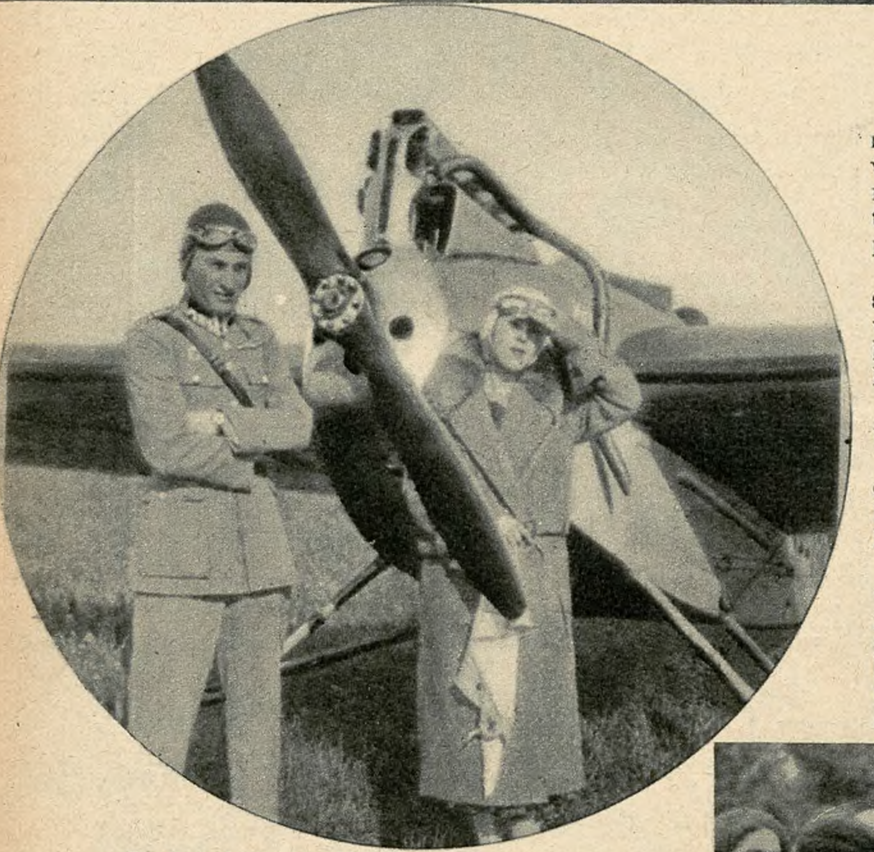
W Polsce bawili w przelocie do Rosji sowieckiej trzej znakomici lotnicy a mianowicie francuski minister lotnictwa Cot oraz rekordziści Codos i Rossi.

Podróż ministra Cota, który wylądował we Lwowie na olbrzymim aparacie o trzech motorach jest jeszcze jednym więcej dowodem siły atrakcyjnej Sowietów, które obecnie są bardzo modne. Minister Cot jest dzielnym lotnikiem, który ma za sobą szereg rajdów. Idzie on w ślady generała Balbo, który także nie chce być ministrem malowanym, ale człowiekiem

TRAGICZNY LOT.



Płk. Filipowicz i śp. kpt. Lewoniewski na starcie w Warszawie.
Fot. Werner, Warszawa.



Sp. kpt. Lewoniewski ze swoją żoną.



Płk. Filipowicz.

Przed kilkunastu dniami dwaj znakomici lotnicy płk. Filipowicz i kpt. Lewoniewski na aparacie P. Z. L. 19 podjęli próbę pobicia światowego rekordu lotu na odległość w linji prostej. Dotarli oni aż pod Kazań i tam w okolicy Jagryna spotkała ich katastrofa. Mianowicie samolot dostał się w mgłę, która uniemożliwiła wszelką orjentację. Co się dalej stało, nie jest jeszcze stwierdzone, dość, że aparat uderzył o ziemię i rozbił się. Kpt. Lewoniewski poniósł śmierć na miejscu a płk. Filipowicz doznał lekkich obrażeń głowy i rąk.

Ś. p. kpt. Józef Lewoniewski urodził się w Leningradzie, gdzie ukończył gimnazjum. Kampanję w 1920 r. odbywał w pierwszym pułku szwoleżerów. W 1923 r. przeniósł się do lotnictwa. Pilotażu uczył się w Lidzie i w paryskiej „Ecole Supierieure d'Areonautique".

Władze sowieckie złożyły hołd śmiertelnym szczątkom śp. kpt. Lewoniewskiego i na dworcu w Moskwie postawiły obok jego trumny kompanję honorową. Także przedstawiciel lotnictwa sowieckiego eksportował ciało do granicy polskiej.

W Warszawie na dworcu wschodnim trumnę wzięli na swoje barki koledzy Zmarłego.

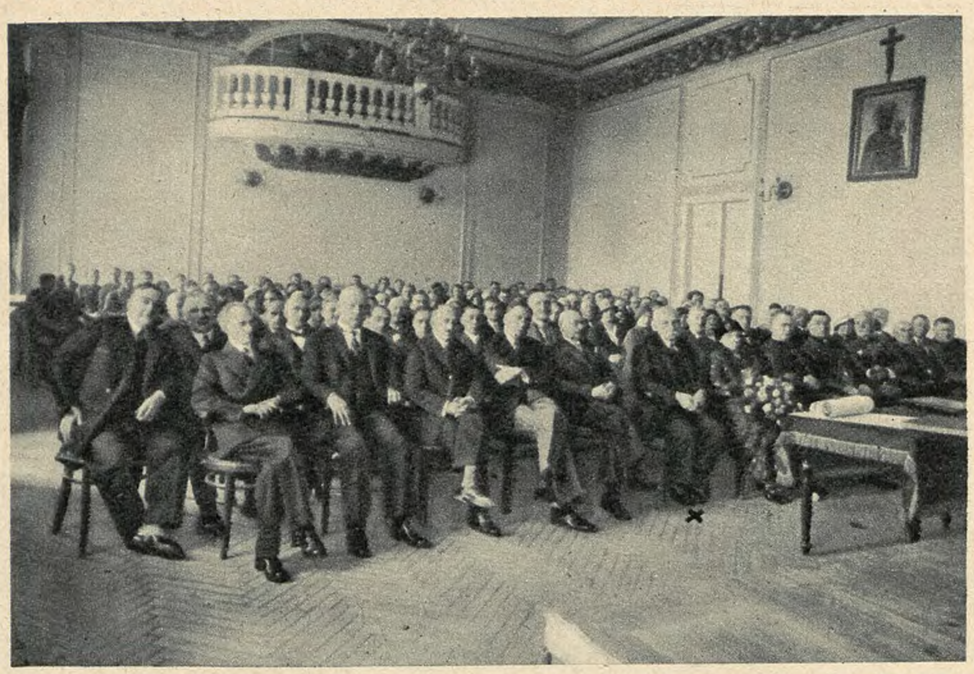
Pogrzeb śp. kpt. Lewoniewskiego zgromadził dosłownie całą Warszawę, która z żalem żegnała bohaterskiego lotnika, który zginął dla chwały Polski na dalekiej Syberji.

Po nabożeństwie w kościele garnizonowym, które odprawił ks. prałat Trzeciak, wyruszył kondukt pogrzebowy, który otwierała orkiestra 36 pułku piechoty. Nad grobem odegrano pieśń „Śpij kolego w ciemnym grobie", poczem wojsko sprezentowało broń, a świeżą mogiłę pokryło morze kwiecia.



Nad otwartą mogiłą.

RADOM KU CZCI PREZESA WIERZBICKIEGO.



W celu uczczenia 40-letniej działalności kupieckiej i obywatelskiej prezesa Stanisława Wierzbickiego odbyła się w Radomiu w sali Sejmiku Powiatowego akademja (na zdjęciu) przy współudziale władz i przedstawicieli sfer gospodarczych, samorządowych i politycznych. Prezes Wierzbicki (x) jest założycielem szkoły handlowej w Radomiu, prezesem Stowarzyszenia Kupców polskich, radcą Izby Przemysłowo-Handlowej oraz Rady Miejskiej.

FELJETON TYGODNIOWY. **BRUNO WINAWER.**

PEGAZ NA NOWEJ DRODZE.

Historja muzyki opowiada ciekawą anegdotkę o jednym z najświetniejszych pianistów — jeżeli mnie pamięć nie myli, o Antonim Rubinsteinie. Postanowił on w wieku podeszłym zerwać z koczowniczem życiem, nie jeździć po koncertach, osiąść w Wiedniu i zająć się spokojną działalnością pedagogiczną. Zgłosiła się odrazu na pierwsze wezwanie gromadka zdolnych uczniów, ale słynny wirtuoz był chwilami mocno zafrasowany.

— Mój drogi — mówił do głośnego pedagoga Leszetyckiego, profesora gry fortepianowej — możebyś mi zechciał wytłumaczyć, jak ja to robię, bo ja tego jakoś nie umiem wyłożyć moim elewom...

Anegdotka ma stanowczo sens głębszy i można ją stosować w różnych okolicznościach. Należy o niej pamiętać zwłaszcza dzisiaj, kiedy powstaje najwidoczniej nowa — dość rozległa — dziedzina literatury, zwana „naukopisarstwem".

Czasy dzisiejsze posiadają wielką falangę świetnych, twórczych uczonych — na wszystkich polach — ale z tej dostojnej gromady bardzo nieliczni umieją opowiedzieć czytelnikom, jak i co właściwie robią — są ludźmi czynu, nie pióra. Wielki Einstein pisał nieraz broszurki i artykuły popularne w księgach „Wiedzy praktycznej", ale ucieka się zawsze do obrazów dość skomplikowanych, nie pobudza wyobraźni czytelnika, nie odpowiada na te pytania, które laika najbardziej gnębią.

Talet pisarski ma bezsprzecznie astrofizyk angielski, sir James Jeans. W nauce ma głośne imię, jest twórcą wielu teoryj owocnych, śmiałym pionierem, ale kiedy przemawia przez radjo, albo w grubej książce opisuje „wszechświat wokół nas", znajduje łatwo porównania proste, „modele" zdumiewająco trafne, parabole prawie poetyckie. W jednej z książeczek opowiada naprzykład o tem, że świat się „roztapia w ustawicznem promieniowaniu". — Ludzkość — mówi — przypomina zatem niedźwiedzia polarnego, który siedzi na krze lodowej i płynie bezwolnie, niesiony prądem, z krajów podbiegunowych ku wodom cieplejszym — jego świat się pod nim topi...

Taka metafora zostaje w pamięci i streszcza trudne teorje nowoczesne lepiej, niż niejeden cykl wykładów akademickich.

Najczęściej jednak profesor jest jakgdyby nieco skrępowany, wygląda, jakby w niewłaściwym kostjumie kroczył po niepewnym, śliskim gruncie literackim. Dzielny, sympatyczny prof. August Piccard opisuje w dużym tomie swój głośny lot do stratosfery. Temat jest świetny, barwny, zajmujący, ale autor nie może się wydobyć ze szczegółów technicznych, zapełnia stronice opisem aparatów, plącze się w linach, klapach, wentylach... I nagle — kiedyśmy już stracili wszelką nadzieję — Piccard opowiada, jak lecąc w niepokoju i trwodze (najważniejsza lina się zerwała przy starcie i podróżnicy nie panowali nad sytuacją), ujrzał z zawrotnych wyżyn rodzinne góry... wierzchołki Alp błyszczące w słońcu... I w fizyku budzi się prawdziwy poeta, zapomina o ciśnieniach, sile parcia, mówi pięknie, głosem ciepłym, cichym, ze wzruszena drżącym... Piśmiennictwo zdobywa dwie, czy trzy karty doskonałe.

W książce sędziwego fizyka z Manchesteru, sira Artura Schustra, znalazłem niedawno bardzo wzruszający obrazek, epizod z okresu wielkiej wojny, fragment prosty, czysty, mocny, któregoby się najlepszy literat nie powstydził...

Nie trzeba sobie oczywiście wyobrażać — że wstęp na tereny „naukopisarskie" mają tylko osoby dyplomowane, utytułowane, że tylko z wyższej grzędy akademickiej widać, co się święci. Ci ludzie — fachowcy, specjaliści — nie mają nawet monopolu na twórczość naukową i w świetnej książce de Kruifa znajdujemy znakomity opis momentu dramatycznego: młody, nieznany lekarz z zapadłego kąta na dalekiej prowincji, staje na katedrze przed audytorjum, złożonem z profesorów, i to on właśnie, Robert Koch, miażdży argumentami głośnego Virchowa, on otwiera nowe drogi i wskazuje dalekie horyzonty wiedzy biologicznej.

W dziejach fizyki trafiamy na nazwisko skromnego introligatora, Faradaya, albo czytamy o smutnych kolejach losu niejakiego Juljusza Roberta Mayera.

To ów Mayer właśnie, lekarz z mieściny Heilbronu, odkrył i pierwszy uzasadnił naukowo ważne prawo zachowania energji, ale fachowcy i profesorowie odwrócili się od niego z pogardą, wyrobili mu opinję manjaka, wyszydzili go, wyklęli, zabronili o nim wspominać... Pewien docent stracił posadę, bo w wykładzie akademickim wymienił jego nazwisko i zasługi... Biedny lekarz, tropiony i szczuty przez t. zw. „miarodajnych", życie sobie odebrał i wspomnienie tej tragedji powinno nas uchronić od... bałwochwalstwa.

Nie! O nauce piszą bardzo pięknie zwykli ludzie i literatura angielska (Crowther, Grierson), którzy się wsławili ciekawymi reportażami. Crowther wpadł na pomysł doskonały, ogłasza wywiady z młodymi uczonymi z Cambridge, wyciąga ich na słówka, opisuje żywo bohaterów odkrycia naukowego, ich metody, „arenę", na której się popisują. Grierson (pseudonim „ciekawy laik") zdaje sprawę z podróży po współczesnej literaturze naukowej, streszcza teorje, próbuje odgadnąć przyszły rozwój.

Anglja ma też największego w świecie dzisiejszym „naukopisarza", wielkiego H. G. Wellsa. Wells posiada nietylko wykształcenie przyrodnicze (studjował ongiś biologję pod kierunkiem słynnego F. H. Huxleya), ale ma przedziwny zmysł orjentacyjny, talent, umie przemawiać językiem prostym, trafić do przekonania, w dowcipnem porównaniu zamknąć długie, zawiłe wywody. Głośny pisarz ma nawet poważne zasługi, bo w przedmowie do swej powieści „Wehikuł czasu" przewidział, przeczuł teorję względności, podał jej zarysy na 10 lat przed Einsteinem. Dziś wydaje świetną „Naukę o życiu", w dużej księdze o „Szczęściu i bogactwie" szkicuje rozwój techniki, genjalnemi rzutami rysuje przeszość i przyszłość, w lapidarnych słowach streszcza nasze bilanse dotychczasowe, spisuje inwentarz dorobku cywilizacyjnego.

Cała falanga dzielnych pisarzy, dowcipny H. Van Loon, Juljan Huxley, kroczy śladami Wellsa, spora gromadka wybitnych uczonych — Haldane, Bertrand, Russel, Lodge, John Baker — zdobywa laury literackie...

Pegaz zwinął skrzydła, ale nabrał animuszu i cwałuje po nowej ścieżce...

Z FESTIVALU W KRYNICY.



Ligja Goebel.



Marja Gorczyńska.

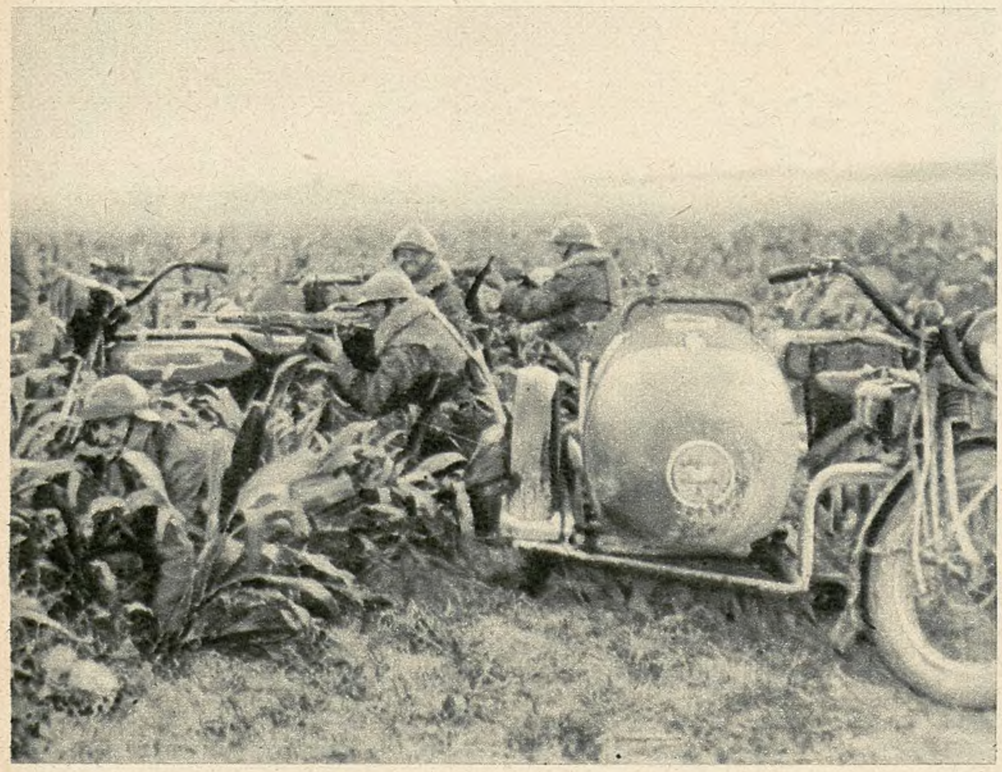


Olga Sławska.

ZDJĘCIA FOT. Z. GARZYŃSKI KRYNICA.

Na zakończenie Festivalu w Krynicy na zabawie w Lwim-Grodzie zostały wybrane trzy królowe piękności. Pierwsze miejsce przyznano znakomitej artystce warszawskiej Marji Gorczyńskiej, drugie Oldze Sławskiej, laureatce Międzynarodowego Konkursu tańca, a trzecie Ligji Goebel, artystce filmowej.

Echa tygodnia.



MANEWRY ARMJI FRANCUSKIEJ. Motoryzacja armji francuskiej czyni szybkie postępy. Zarówno artylerja, jak oddziały techniczne a nawet karabiny maszynowe przechodzą na trakcję motorową. To też ostatnie manewry francuskie w Szampanji, które miały miejsce przed kilku dniami stały pod znakiem motoryzacji. Na zdjęciu zmotoryzowany patrol karabinów maszynowych.



BOHATERZY Z WYSPY NIEDŹWIEDZIEJ. Do Warszawy powrócili po dłuższym pobycie na Wyspie Niedźwiedziej członkowie polskiej ekspedycji polarnej, która bawiła tam dla badań naukowych. Przepędzili oni długich kilka miesięcy na prawie bezludnej wyspie i przywieźli bogaty plon. W uznaniu zasług rząd udekorował ich krzyżami zasługi. Stoją od lewej: pp. Siedlecki, Centkiewicz i Łysakowski.

PIERWSZY ŚNIEG W TATRACH.

Letni sezon turystyczny w Tatrach zakończył się w tym roku bardzo wcześnie. W ostatnim tygodniu sierpnia śnieg pokrył białym całunem szczyty i wyżej położone przełęcze, zmuszając turystów do łazikowania po dolinach lub niższych, do dwu tysięcy wysokości, szczytach. A turystów w ostatnich tygodniach było jeszcze wielu w górach. Byli to albo optymiści, którzy wierzyli w powrót pięknej i ciepłej pogody, albo goście z dalekich okolic kraju, skąd wyruszając w drogę, nawet nie przypuszczali, że trzeba będzie brnąć w górach w śniegu, lub też wkońcu ci, którym urlop przypadł akurat na początek września. — Te trzy kategorje turystów, złączone nadzieją pogody, wysiadywały w schroniskach, nie ważąc się na poważniejszą „robotę". W schronisku w Roztoce ogólną uwagę zwracał jakiś chudy urzędnik, który siedem dni tkwił w „Votrubowej Chacie" po czeskiej stronie z planem obrobienia kilku ładnych szczytów, aż wkońcu wrócił przez przełęcz pod Kopą do Roztoki, skąd uciekł do Warszawy po dwu dniach dalszej bezczynności.

Do Roztoki zresztą, tego pierwszorzędnego obecnie w Tatrach schroniska, docierali polscy turyści z południowej strony gór drogą okrężną. Śnieg bowiem odstraszał ostrożniejszych. Próbowali od Popradzkiego przez Rysy i zawracali od Wagi. Podchodzili do Domu Śląskiego, by przedostać się przez Polski Grzebień, lecz tam już ich uprzedzano, że zejście do doliny Świstowej jest niebezpieczne. Nie ważyli się więc przedostać przez Rohatkę czy przełęcz Lodową, tylko wprost z „Kamziku" ruszali daleką drogą przez przełęcz pod Kopą, która zawsze „puści".

Do tych błędnych turystów i ja się zaliczam. Dotarłem lekko do Koprowej, z przyjemnością deptając puszysty śnieg na Gładkiej Przełęczy, a wieczorem w schronisku pod Krywaniem ze zdziwieniem przysłuchiwałem się rozżaleniu jakiegoś profesora, którego przełęcz Furkotna „nie puściła" z powodu śniegu. Niemniej jednak i ja byłem rozżalony na drugi dzień, gdym w południe po kilkuset metrach, przebrniętych w śniegu, musiał zawrócić tuż z pod szczytu Krywania. Bez czekana wolałem nie ryzykować i nie powiększać lekkomyślnie kroniki wypadków w górach. Wracając, nie żałowałem mego odwrotu, gdyż, jakgdyby w nagrodę za rozwagę, Krywań okrył się mgłą, która go nie opuściła przez kilka dni następnych.

We mgle spoczywały i inne wyższe szczyty Tatr. Może dlatego też większą tym razem uwagę poświęciłem ludziom, niż górom.

— — — — — — — — —

Tuż nad Szczyrbskiem Jeziorem stoi luneta, skierowana na panoramę Tatr. Powoli krążę koło niej, nie będąc ciekawy widoku, gdyż mgła wisi nawet już nad Skrajną Basztą. Ciekawskich jednak nie brak nigdzie. Do lunety zbliża się kilka turystek i dalejże zaglądać. Wkońcu jedna z nich konkluduje: „Szczytów nie widać, ale zato nawisy mgły występują bardzo wyraźnie". Chcąc być uprzejmym, zwróciłem się do tej pani z wyjaśnieniem: „A może Pani chce zobaczyć mgłę jeszcze wyraźniej?" — przyczem wskazałem jej palcem mały napis w trzech językach pod otworem lunety: „Wrzucić dobrą monetę i dopiero wtedy zaglądnąć". Mechanizm bowiem lunety polegał na tem, że po wrzuceniu „gutes Geldstück" odsuwała się zasłona, zakrywająca soczewkę. Turystka przeczytała uwagę i nagle spojrzała na mnie tak dziwnie, że zwiałem odrazu do stojącego w pobliżu tramwaju.

Jadąc tramwajem ze Szczyrbskiego Jeziora do Smokowca (Szmeksu), przypomniałem sobie słowa kolegów, żegnających mnie w Krakowie: „Ale się tam najesz owoców południowych". Pamiętałem o tem już rano i w południe, dlatego też nie jadłem obiadu w Szczyrbskiem. Po przybyciu do Smokowca odrazu ruszyłem na poszukiwanie bananów, zwłaszcza, że żołądek dawał wyraźnie znać o sobie. Wpadam do sklepu i widzę całe kiście. Stosownie do apetytu wybieram jedną z większych i śmiało zapytuję o cenę za kilogram. „Szesnacet korun, prosim" (przeszło 4 złote) — pada odpowiedź. Uśmiechnąłem się smutno, bąknąłem „poklona" i po kilku chwilach na ławce przy przystanku tramwaju linowego, zapełniłem żołądek... polskim jeszcze chlebem i serem. Po kilku kęsach ucichły marzenia o tanich bananach.

— — — — — — — — —

W „Kamziku" (hotel pod Kozicą) u wylotu doliny Staroleśnej zastałem „mieszane" towarzystwo: wesoło popijających piwo i objadających się gości w „cywilnych" ubraniach, panie wystrojone jak na spacer i skromniutko siedzących po kątach turystów. W mig zorjentowałem się w sytuacji, zwłaszcza gdy podszedł do mnie kelner w czarnem ubraniu z białą marynarką. Cichutko zjadłem zupę i wysunąłem się do pokoju noclegowego, wiedząc z doświadczenia, że każde „prosim" wypowiedziane przez kelnera, będzie mnie kosztować kilkanaście koron.

— — — — — — — — —



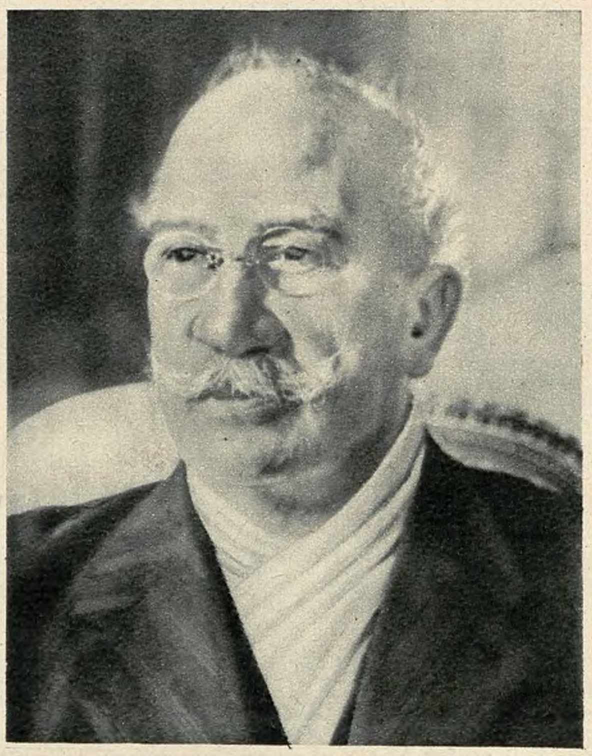
Wysoka w pierwszym śniegu.



Wypas owiec nad jeziorem Szczyrbskiem.



DAR DLA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO. Przemysłowiec ze Strassburga p. Szymon Fischel ofiarował p. Marszałkowi Piłsudskiemu drogocenny róg z kości słoniowej, który ongiś był własnością króla Sobieskiego. P. Fischla (pierwszy od prawej) przyjęła w Belwederze p. Marszałkowa Piłsudska. Obok stoją konsul polski ze Strassburga p. Lechowski, naczelnik Czosnowski i kpt. Miładowski.





STRATOSFERA CIĄGLE W MODZIE. Sowieckie warsztaty lotnicze w Leningradzie zbudowały dwa balony do lotów do stratosfery. Jeden z nich został już przewieziony do Moskwy (na zdjęciu) w celu dokonania prób. Ma on 25.000 m³ pojemności. W gondoli jego o obwodzie 36 m może się wygodnie pomieścić kilka ku ludzi. Balon ten nazwany „USSR" będzie służył do badań fizycznych i chemicznych w stratosferze.

„Unionbild".

PRZESILENIE RZĄDOWE W HISZPANJI. Po ustąpieniu Azany na stanowisko premjera został powołany przywódca radykałów Lerroux. Jest on tak samo, jak jego poprzednik zwolennikiem bezwzględnego rozdziału kościoła od państwa i laicyzacji szkół a także szybkiego wykonania reformy rolnej.



BUŁGARJA NA ROZDROŻU. Król bułgarski Borys odwiedził wraz ze swoją małżonką kolejno Paryż i Londyn. Podróży tej przypisują duże znaczenie polityczne, ponieważ oznacza ona zbliżenie do Francji. Podobno król Borys zabiegał w Paryżu o pożyczkę. Na zdjęciu król w rozmowie z policjantem Londynu.

Scherl.

Na drugi dzień radośnie rwałem w stronę polską do Roztoki. W „Zbójnickiej Chacie", zwanej przez taterników „trupiarnią", spotkałem pierwszego Polaka, pana M. z Leszna. Ucieszył się, słysząc polską mowę, niemniej, niż ja i mój przyjaciel. Odprowadził nas prawie pod podnóże przełęczy Rohatka. Szedł wolno jak alpinista i przestrzegał przed śniegiem na przełęczy. Rady jego okazały się słuszne. Ścieżka, doskonała w innych warunkach, była zupełnie zasypana głęboką pokrywą śniegu. Przed nami jednak ktoś przeszedł niedawno tą drogą, gdyż widać było ślady butów. Ostrożnie, wybijając butami stopnie, wydostaliśmy się na przełęcz. Dopiero z tej wysokości można było uprzytomnić sobie, że jeden choćby tylko nieostrożny krok, mógł łatwo zakończyć się śmiertelnym zjazdem po kilkuset metrach śniegu na piargi. Zejście w stronę Zmarzłego Stawu w kłębiącej mgle po usuwającym się śniegu, wymagało też dużej ostrożności. Tymczasem hurkot spadających kamieni i kawałków lodu z Małej Wysokiej przynaglał do pośpiechu. Przydałby się choć jeden czekan. Z przyjemnością więc wyprostowaliśmy nogi na równej ścieżce, wydeptanej w śniegu przy podejściu na Polski Grzebień.

— — — — — — — — — — — — — — —

Z Polskiego Grzebienia schodził turysta Węgier z przewodnikiem, których spotkaliśmy w Kamziku. Zdaleka pierwszy z nich witał nas „Jo napotkiwanok". Gdy podeszli bliżej, zauważyłem, że byli związani liną. Tak zeszli z Małej Wysokiej i tak szli po łagodnem zboczu na Rohatkę. Widocznie zdziwienie malowało się w naszych oczach, gdy przewodnik Słowak, objaśnił mnie w polsko-słowackich wyrazach, że jego towarzysz się boi. Węgier zaś usprawiedliwiał się, że lina jest ciężka, więc niosą ją obaj. Odpowiedziałem Węgrowi, że jest to z jego strony oznaka wielkiej humanitarności. Zapłacił bowiem przewodnikowi 26 złotych za cały dzień i jeszcze dźwiga połowę liny...

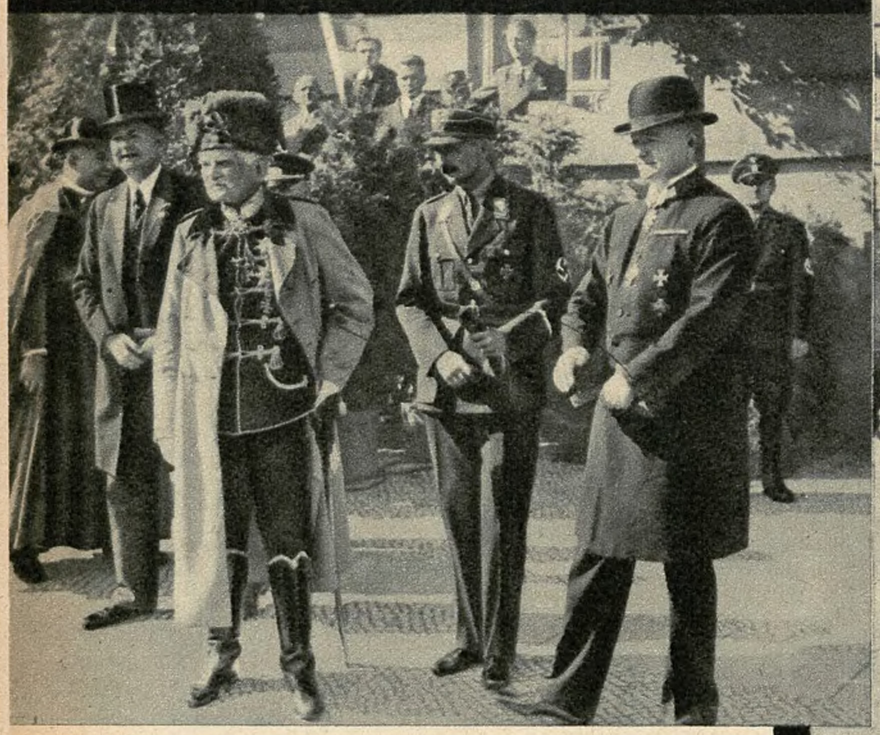
— — — — — — — — — — — — — — —

Dotarłszy do Roztoki, przedewszystkiem najedliśmy się do syta i wypiliśmy kilka herbat (szklanka herbaty 15 groszy — w czeskich schroniskach 50—60 groszy), a w międzyczasie, przysłuchując się rozmowom, zauważyłem, że najwygodniej — ze względu na śnieg — wybrać się na borówki, lub iść na nieośnieżonego Mnicha lub Młynarza. Zwolenników trudniejszej wspinaczki nie było. Śnieg dobrze bronił dostępu do Litworowego, Batyżowieckiego, Ganku i Wysokiej. I pozostanie tam — jak zapewniali górale — już do zimy, a szczyty odetchną trochę od turystów. Dopiero w zimie na niektórych z nich stanie uzbrojona w raki noga turysty, wyposażonego w zimowy ekwipunek. **Ten.**



GOŚCIE ŁOTEWSCY W POLSCE. Do Warszawy przybył zastępca szefa sztabu armji łotewskiej gen. Hartmanis i złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza (na zdjęciu). Jest to jeszcze jeden dowód więcej zacieśniania się węzłów przyjaźni pomiędzy Polską a Łotwą.

POSŁUSZNI PANOWIE W CYLINDRACH.



Członek Rady gen. Mackensen w towarzystwie księcia Augusta Wilhelma pruskiego.



Premjer Goering dokonuje otwarcia Rady państwowej.



Z otwarciem Rady państw. zbiegło się posiedzenie Trybunału Międzynarodowego w Londynie (na zdjęciu). który rozpatruje sprawę podpalenia Reichstagu.



Premjer Goering przechodzi przed frontem kompanji honorowej, udając się na otwarcie rady państwowej.

Niemcy szybkimi krokami idą do zmiany ustroju. Konstytucja Weimarska już właściwie nie istnieje. Parlament, w którym hitlerowcy mają olbrzymią większość uchwalił Hitlerowi nieograniczone pełnomocnictwa i odroczył się. Partje polityczne opozycyjne przestały istnieć, gdyż albo się dobrowolnie(!) rozwiązały, albo też zostały rozwiązane. Ludzie, którzy jeszcze przed rokiem trzęśli Rzeszą znajdują się albo na wygnaniu, albo też w obozach koncentracyjnych. Na placu boju pozostał sam Hitler i z żelazną konsekwencją realizuje program przebudowy państwa, zawarty w swej książce „Mein Kampf". Hitler pragnie całą Rzeszę zamienić w jeden wielki obóz zbrojny, pragnie przygotować swój naród do walki o nowe granice. Tajemnica jego powodzenia polega na tem, że umiał on wczuć się w psychikę zbiorowości niemieckiej i wypowiedzieć i ująć w tezy to, co było jej pragnieniem i religją. W Niemców wmawiano od czasów Bismarcka, że są oni rasą panów, stworzoną do panowania nad światem. Narody pograniczne a przedewszystkiem Słowianie mieli być tylko nawozem dla ich wielkości. Tępiono bezlitośnie żywioł polski w Wielkopolsce, na Pomorzu, w Prusach Wschodnich i na Śląsku. Gotowano się do aneksji znacznej części b. Kongresówki. Potężnie rozbudowana flota niemiecka coraz bardziej panoszyła się na Oceanach. Bogate kolonje we wszystkich częściach świata napawały dumą każdego Niemca. Zgórą pół miljona bagnetów w czasie pokoju czyniły z armji pruskiej straszliwy młot wzniesiony nad Europą. Przez 40 lat pracowali Niemcy nad powiększeniem swojej potęgi, a kiedy przyszli do przekonani, że są już dość silni, wywołali wojnę, która miała dać im panowanie nad światem. Początkowo powodziło im się doskonale, rok 1918 przyniósł im jednak pogrom i upokorzenie. Ich dumny cesarz musiał uciekać zagranicę, ich prowincje zostały zajęte przez wojska nieprzyjacielskie, a cały dorobek stu lat, wszystkie zrabowane ziemie wróciły do swoich prawych właścicieli. Sny o potędze skończyły się i przyszły lata pokuty. Trzeba było z czoła zdjąć pikelhaubę i ubrać melonik i grać rolę wielbicieli pokoju. Nieszczęsnej tej roli podjęli się przedewszystkiem socjaliści i centrowcy. Oni to, zresztą zupełnie nieszczerze prowadzili przez szereg lat t. zw. politykę „wypełnienia", oni to pili piwo, nawarzone przez Hohenzollernów, generałów, junkrów i hakatystów. Aż na widowni zjawił się Hitler. Początkowo występował nieśmiało, ale im bardziej padała w gruzy spoistość koalicji, tem język jego stawał się twardszy. Hitler trafił do przekonania Niemcom, bo głosił, że nie ponoszą oni żadnej winy za wybuch wojny, że nie powinni płacić kontrybucji, że powinni z powrotem otrzymać „zrabowane ziemie (!)" i że muszą mieć stałą armję, a nie zaciężną. Pozatem Hitler idąc za wzorem Ludendorffa, wskazał na żydów, jako na tych, którzy spowodowali klęskę Niemiec i rozpętał ku nim nienawiść.



Poczty sztandarowe w pochodzie na salę obrad.

Dziś Niemcy całe skapitulowały przed potężną wolą pomocnika malarza pokojowego. Wierzą, że z jego pomocą zdobędą znowu świat. A tymczasem Hitler reformuje Rzeszę. W tych dniach w Poczdamie odbyło się pierwsze posiedzenie pruskiej Rady Państwa. Dotychczas pochodziła ona z wyborów, teraz składa się z nominatów. Jest ich 69. Są to przeważnie dygnitarze partyjni i ludzie nauki i sztuki. Mogą oni obradować i dawać rady, ale uchwały ich nie są dla premjera Goeringa zupełnie wiążące. Premjer może w każdej chwili posiedzenie przerwać i panów w cylindrach odesłać do domów. Porządek dzienny układa premjer, a nie Rada. Żadne sprawy bez wiedzy i aprobaty premjera nie mogą być przedmiotem obrad. Każdy z członków Rady może wprawdzie żądać zwołania jej w każdej chwili, ale decyzja należy wyłącznie do premjera. Jest to więc tylko ciało doradcze, nie mające żadnej inicjatywy ustawodawczej, żadnych praw, zależne od kaprysu swego władcy i pana Goeringa.

W Trzeciej Rzeszy zresztą jest to już regułą, że większość nigdy nie rozstrzyga, ale decyzja należy do jednego człowieka, na którym umiejscawia się odpowiedzialność.

Otwarcie Rady odbyło się bardzo uroczyście. W tym dniu szkoły były zamknięte, wojsko paradowało po ulicach, a całe miasto tonęło we flagach. Dogasający parlamentaryzm otrzymał jeszcze jedno potężne uderzenie.

Tymczasem w Londynie obradował Międzynarodowy Trybunał dla rozpatrzenia sprawy podpalenia Reichstagu. Stawali przed nim, jako świadkowie, b. ministrowie pruscy, jak Grzesińsky — tragiczne postacie, które ustąpiły z widowni dlatego, że czasy przerosły ich małe opornistyczne dusze.

Jan L.

FLIRT HERRIOTA Z SOWIETAMI.



Herriot w odwiedzinach u słynnego pisarza sowieckiego Gorkija (trzeci od lewej).



Herriot na Kremlu w Moskwie pod starożytnem działem. Obok niego po prawej ambasador francuski w Moskie Alphand

B. premjer francuski Herriot odbył podróż do Sowietów. W Odessie powitał go przedstawiciel Komisarjatu Ludowego słowami: „witamy w panu człowieka nieustannie walczącego o pokój. Pan i pańscy towarzysze są pożądanymi gośćmi w ZSSR."

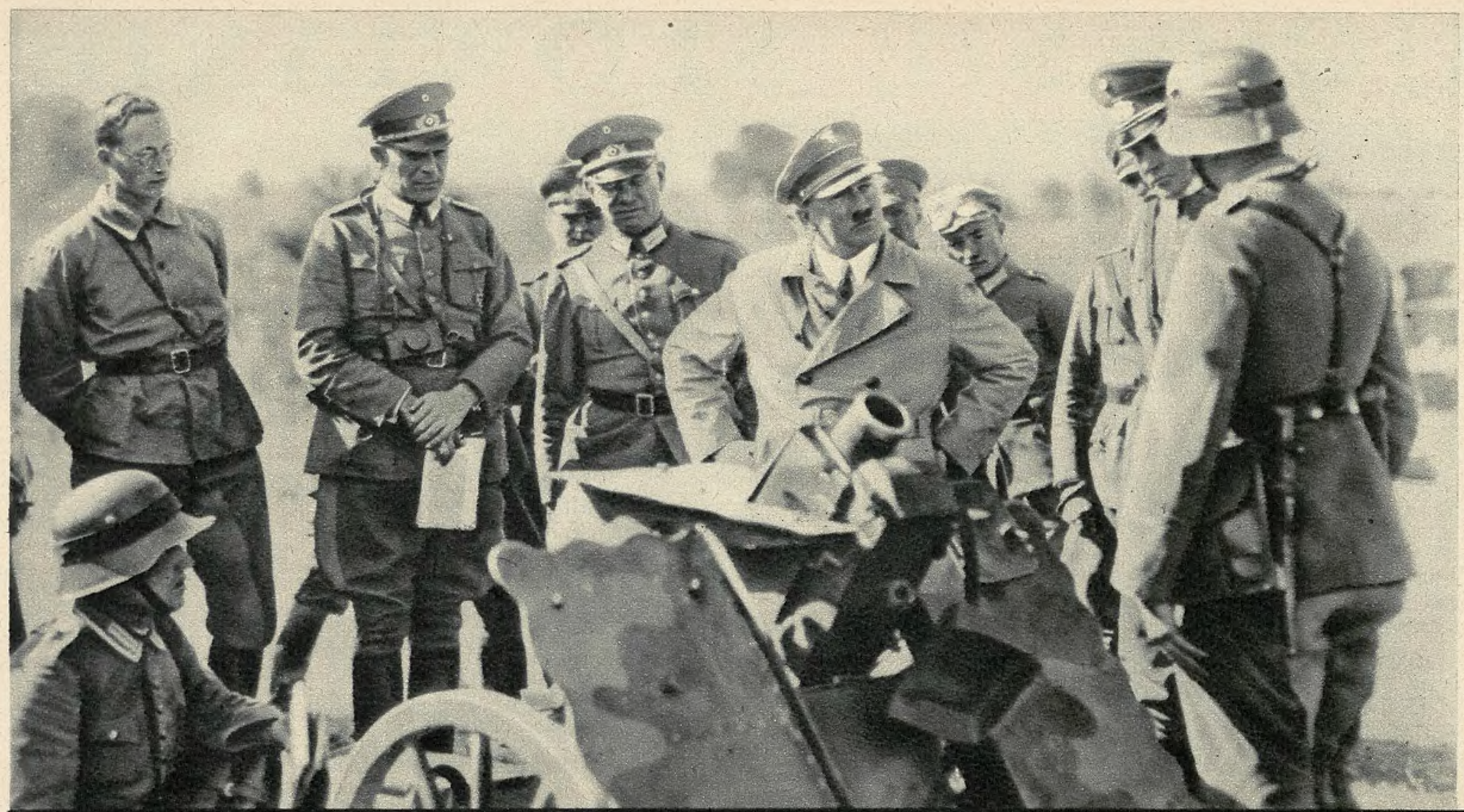
Po krótkim pobycie w Kijowie, udał się Herriot do Dnieprostroju, aby podziwiać to dumne dzieło piatiletki. W Moskwie zetknął się Herriot z czołowymi postaciami Sowietów, a więc przedewszystkiem z Mołotowem, Stalinem, Woroszyłowem i Gorkim. Powrócił do Paryża drogą przez Rygę.

Sfery polityczne przypisują tej wizycie wielkie znaczenie, albowiem oznacza ona zbliżenie sowiecko-francuskie, które dokonało się pod wpływem zwycięstwa Hitlera w Niemczech.

Pokazano także Herriotowi kołchozy.



ZDJĘCIA „UNIONBILD"



HITLER PRZY ARMATACH

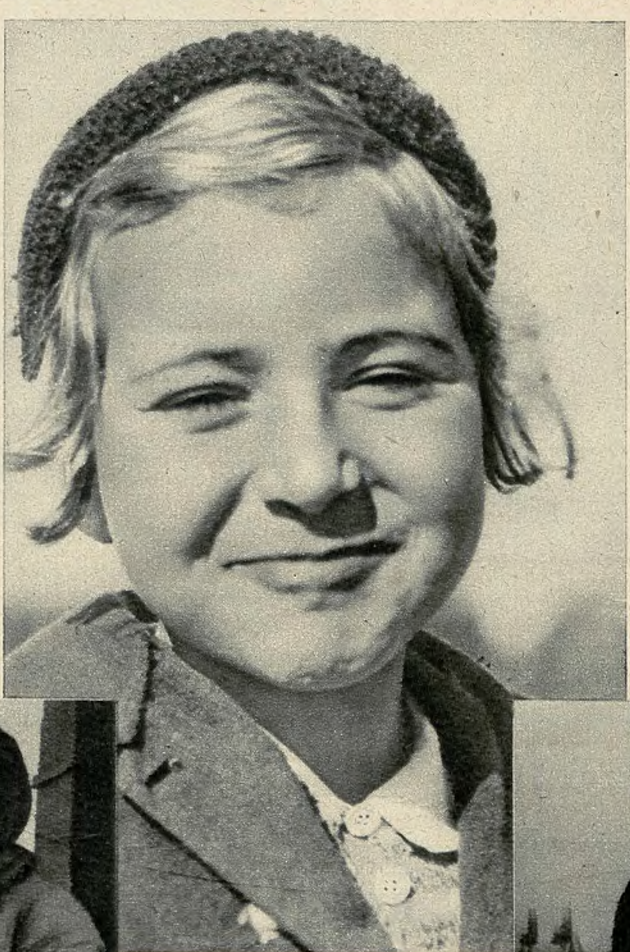
Hitler chętnie podróżuje, zwiedzając różne miasta, aby rozbudzić ducha militarnego wśród swoich zwolenników. Po masówce w Norymberdze, która zgromździła 150.000 brunatnych koszul, udał się Hitler do Ulmu na inspekcję wojsk, w towarzystwie ministra Reichswehry gen. Blomberga. Na zdjęciu widzimy go, rozmawiającego z obsługą działa przeciwlotniczego. Hitler z pochodzenia Austrjak, wstąpił jako ochotnik do wojska niemieckiego i dosłużył się szarży gefreitra, oraz żelaznego Krzyża. Był także ranny na froncie i dlatego twierdzi, że obywatelstwo Rzeszy okupił swoją krwią.

POMARAŃCZE PALESTYŃSKIE.

Pomarańcze palestyńskie są w tej chwili aktualnością nie tyle gastronomiczną, ile... polityczną. Podobno bowiem między rządem niemieckim a żydami palestyńskiemi przyszedł do skutku „pomarańczowy" traktat handlowy. Przypatrzmy się tej sprawie bliżej, ale nie z politycznego, ani z gastronomicznego punktu widzenia, tylko pod kątem spraw dzisiaj niestety na całym świecie najaktualniejszych, pod kątem gospodarczym. W tem oświetleniu pomarańcze palestyńskie nabierają pierwszorzędnego znaczenia. Jest to najgłówniejszy produkt ziemi palestyńskiej, szczególnie tej jej części, którą zamieszkują żydzi. Wymowa prostych liczb jest znacząca: oto sam eksport pomarańczy palestyńskich wynosił w ubiegłym roku trzy i pół miljona skrzyń wartości 1.700.000 funtów szterlingów. Tego roku z powodu długiej posuchy na niezawodnionych terenach zbiór pomarańcz będzie prawdopodobnie mniejszy, ale odnosi się to prawie wyłącznie tylko do arabskiej części Palestyny, nie do żydowskiej. Być może jednak, że hodowla pomarańcz osiągnęła w tym kraju już swój szczyt i dalej w temsamem tempie już się rozwijać nie będzie. A tempo było bardzo szybkie: w przeciągu dziesięciu lat wywóz pomarańcz wzrósł prawie trzechkrotnie. To spowodowało ogromną zwyżkę cen gruntów, w żydowskiej części Palestyny położonych a nadających się na uprawę pomarańcz. Dzisiaj wkłady w ten interes przynoszą jeszcze 10—15%, ale przy wygórowanych cenach dochodowość terenów spadnie, co zapewne osłabi i zwiększanie się terenów pomarańczowych.

Przyczyni się do tego zapewne i wzrost przemysłu palestyńskiego. Kryzys agrarny dotychczas żydowskiej ludności w słabszym stopniu dał się odczuć niż arabskiej. Dzieje się to dzięki temu, że w przeciwieństwie do Arabów, z których około 75% żyje z roli, wśród ludności żydowskiej procent ten wynosi tylko 15, a są to przeważnie jednostki dysponujące pewnym kapitałem, o jakim arabscy fellachowie nie marzą. Naogół Palestyna jest do tej chwili błogosławionym krajem, prawie, że nie dotkniętym kryzysem. Dochody administracji państwowej, sprawowanej, jak wiadomo, przez Wysokiego Komisarza, mianowanego przez króla angielskiego, nie spadają, lecz — o dziwo!— rosną. Tak np. w roku gospodarczym 1932/1933 administracja państwowa osiągnęła przeszło trzy miljony funtów szterlingów, t. zn. o przeszło sześćset tysięcy więcej, niż w roku poprzednim, a przeszło pięćset tysięcy więcej, niż zapowiadał preliminarz. Rząd palestyński jest jedyny zapewne, który w obecnej chwili posiada bardzo poważną rezerwę finansową, chowaną na gorsze czasy, które tutaj mogą nadejść dopiero, podczas gdy reszta świata wygląda z utęsknieniem nadejścia lepszych czasów. Głównem źródłem, ożywiającem palestyńskie życie gospodarcze jest napływ żydowskiego kapitału. Imigracja żydów do Palestyny rośnie, zwłaszcza w ostatnich czasach, skutkiem przewrotu hitlerowskiego w Niemczech. W czerwcu br. przybyło 1.364 osób, z czego żydów było 1.263. A wśród nich zawsze jakichś 200 czy 250, to żydzi zamożni, lokujący swe pieniądze bądź w miejscowych bankach, bądź inwestujący je w przedsiębiorstwach przemysłowych lub handlowych. Konjunktura w trzech dziedzinach: hodowli pomarańcz, przemyśle budowlanym i fabrycznym w tej chwili jest wprost świetna. Dla Europejczyka dziwnem się wyda, że ta „prosperity" palestyńska odbywa się w okresie, kiedy przywóz do tego kraju góruje znacznie nad jego wywozem, t. zn. kiedy bilans handlowy dla Palestyny jest wybitnie pasywny. Oto cyfry za rok 1932: wywóz 2.380.000 funtów szterlingów, przywóz 7.770.000, zatem saldo na korzyść importu 5.390.000. W eksporcie palestyńskim pierwsze miejsce zajmują oczywiście pomarańcze, stanowiąc 70% ogólnej sumy; wyroby przemysłowe narazie odgrywają bardzo podrzędną rolę.

Świetność obecnej konjunktury obserwuje się przedewszystkiem w przemyśle budowlanym. Ceny gruntów podskoczyły niesłychanie wgórę, spekulacja niemi w Tel-Awiw, dokąd kieruje się prawie cały napływ żydowskich emigrantów, osiągnęła stan gorączkowy. Tel-Awiw rośnie „jak na drożdżach". W sierpniu powstało tam 1.009 pokoi i 15 sklepów, podczas gdy w tym samym miesiącu roku ubiegłego zabudowano tylko 204 pokoi i 15 sklepów. I ta gorączka budowlana trwa nieprzerwanie nadal. Znaczącym jest fakt, że fabryka cementu w Haifie, pracująca na trzy zmiany, jeszcze w ubiegłym roku znaczną część swoich wytworów eksportowała zagranicę, obecnie zaś ledwo zdoła zaspokoić zapotrzebowanie krajowe. Ludność palestyny wzrasta w szybkiem tempie: obecnie jest tam około 850.000 Arabów i 200.000 żydów. Obie liczby rosną, pierwsza wskutek przyrostu naturalnego, druga dzięki imigracji. Czy z tego nie wyniknie w przyszłości przesilenie wobec tego, że teren jest mały i w wielkiej części nieurodzajny — to rzecz inna.



Mały żydek z Palestyny.

Zdjęcia Aleksandrowicz Kraków.

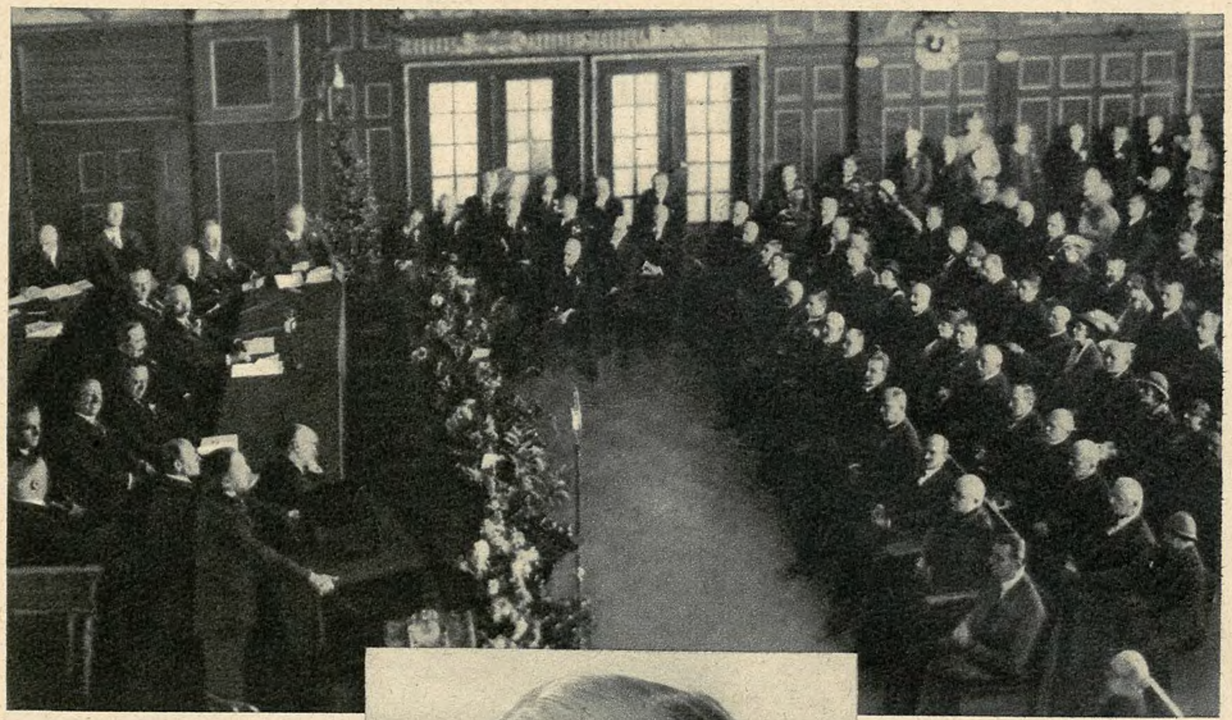


Widok na gaje pomarańczowe w Palestynie.



Statek z ładunkiem pomarańczy, opuszczający port w Aleksandrji.

MIŁUJCIE SIĘ SŁOWIANIE!



W Poznaniu obradował XIV. Zjazd Lekarzy Słowiańskich. Na zdjęciu moment otwarcia Zjazdu w obecności p. Prezydenta Rzpltej w sali Uniwersytetu poznańskiego. Za stołem prezydjalnym m. i. widoczni pp.: śp. prof. dr. Karwowski, prof. Moskov prof. Jirasek, prof. Kimla, i dr. Jakimiak, na mównicy rektor dr. Runge.



Ś. p. dr. Adam Karwowski, profesor Uniwersytetu poznańskiego był prezesem Komitetu Organizacyjnego Zjazdu. W drugim dniu Zjazdu zachorował i zmarł na udar serca. Śmierci jego towarzyszył powszechny żal uczestników Zjazdu.

Poznań gościł w zeszłym tygodniu parę tysięcy lekarzy i przyrodników polskich i słowiańskich. Odbyły się tam równocześnie: — Zjazd Lekarzy Słowiańskich i XIV-ty Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polski i Zjazd medyków pod hasłem: „Miłujcie się Słowianie".

Wszystkie te zjazdy naukowe zamieniły się w żywiołową manifestację zbratania nauki wszechsłowiańskiej. I pod tym kątem trzeba patrzeć na znaczenie polityczne i społeczne tego Zjazdu. Potem dopiero odsłania się właściwy cel Zjazdu: przedstawienie wzajemne ostatnich zdobyczy naukowych, przedstawienie i zreferowanie prac dokonanych w okresie ostatniego czterolecia.

Zjazdy lekarzy i przyrodników polskich, które odbywają się co 4 lata, posiadają pierwszorzędne reprezentacyjne znaczenie dla nauki polskiej. Przewija się w nich w setkach i tysiącach referatów obraz pracy naukowej polskiej z najświeższych czasów. Tak było i w tym roku.

Zjazd osiągnął rekordowe cyfry w ilości zgłoszeń uczestników i w ilości wygłoszonych referatów. Dość wspomnieć, że na Zjazd ten przybyło zgóra dwa i pół tysiąca lekarzy i przyrodników polskich, nie licząc kilkuset gości zagranicznych. Z zagranicy przybyli: Czesi, Bułgarzy, Jugosłowianie, przedstawiciele nauki sowieckiej, zaś z przedstawicieli narodów niesłowiańskich: Francuzi i Belgowie. Wygłoszono na Zjeździe prawie dwa tysiące referatów. Aby podołać tak olbrzymiemu zadaniu, trzeba było obradować w trzydziestu pięciu poszczególnych sekcjach naukowych, z których każda prawie obradowała w osobnym gmachu.

Poznań przybrał odświętny wygląd. Wszystkie kamienice w śródmieściu udekorowane. „Udekorowani" również wszyscy uczestnicy Zjazdu, odznaka bowiem zjazdowa wyglądała jak order: ładny mały medalik pamiątkowy (wybity w mennicy państwowej) zawieszony u klapy surduta na wstążeczce o barwach narodowych.

Normalny tok obrad przerwała na chwilę straszna wiadomość o niespodziewanej i nagłej śmierci prezesa komitetu organizacyjnego Zjazdu śp. prof. dra Karwowskiego. Odwołano z tego powodu raut wydany przez prez. miasta dra Ratajskiego — normalnym trybem potoczyły się natomiast w dalszym ciągu obrady naukowe, acz zawisł nad nimi cień smutku po tym wielkim i tak pracowitym człowieku — który ten gigantyczny Zjazd tegoroczny zorganizował.

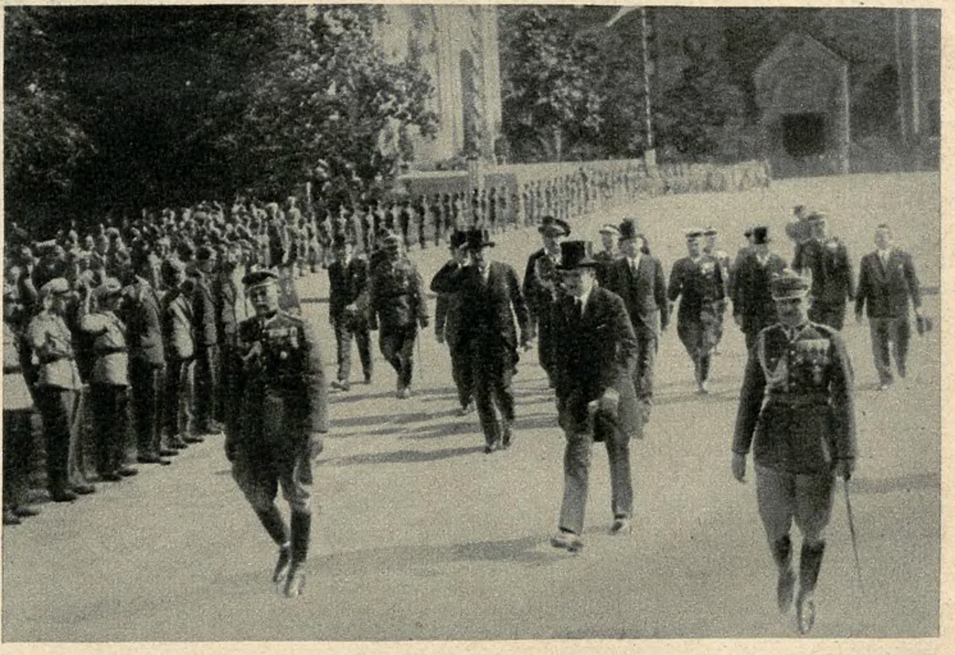
* * *

W związku ze Zjazdem zorganizowano w Poznaniu Wystawę pt. „Przyroda, Zdrowie i Opieka społeczna". Wystawa ta — pomijając dotychczasowe, wędrowne wystawy Okr. Kas Chorych i in. — jest właściwie pierwszą próbą zorganizowania na większą skalę tego rodzaju propagandy higjeny w Polsce. Niektóre stoiska wystawy są pierwszorzędne. Należy do nich przedewszystkiem Stoisko Min. Spr. Wojsk. i Stoisko Min. Opieki społecznej. Liczne tablice i wykresy przedstawiają w sposób plastyczny dla każdego zrozumiały walkę społeczną z chorobami, wyniki walki z epidemjami w Polsce, ruch ludności etc. Bardzo ciekawe są stoiska niektórych zakładów naukowych i uniwersytetów polskich.

Stoiska trzeba zobaczyć — krótkie i jędrne objaśnienia przeczytać, porównać z wykresami i nader interesującemi tabelami. — Zainteresuje ona każdego, każdy bowiem nauczy się wówczas cenić wysiłki człowieka w jego walce z brudem, zarazkami chorobotwórczemi i chorobą. **(Lg)**



Równocześnie ze Zjazdem Lekarzy odbył się także Kongres Medyków Słowiańskich. Na zdjęciu moment przemówienia prezesa Kongresu Sokoła.



P. Prezydent Rzpltej udaje się z Zamku poznańskiego do Uniwersytetu na otwarcie Zjazdu Lekarzy.

Wszystkie zdjęcia Ag. fot. „Światowid".

I ZNOWU BLUZKI.







Brokatowa bluzka z obficie marszczonemi rękawami.

Bluza z jedwabnej sznelki w kilku kolorach, oryginalnie zestawionych w pasy.

Obok: Urocza bluzeczka z jasnej tafty w jednym tonie, przybrana kokardkami i gazową ryszką.

Poniżej: Wieczorowa bluza z jasnej gazy w drobniutkie zakładeczki.



Moda jesienna ma w swym repertuarze bardzo bogaty wybór bluzek, odpowiednich na rozmaite pory dnia i do różnego zastosowania. Praktyczność bluzy zatriumfowała w całej pełni. Gdy bowiem w lecie ma każda z pań kilka jasnych sukienek na zmianę, to w zimie większe urozmaicenie stroju bywa trudniejsze ze względów ekonomicznych. I tu przychodzi z pomocą moda bluzek.

Do jednej spódniczki z dobrej wełny, czy też wieczorowej jedwabnej, a więc długiej, ileż można łatwym stosunkowo sposobem sprawić sobie tych miłych, wdzięcznych cacek, które w bardzo rozległej skali mieszczą się w jednem pojęciu — bluzy.

Na codzienny użytek ubiera pani bluzeczkę z lekkiej wełny, w jaśniejszym lub ciemniejszym tonie, w kratkę lub w paski, o kroju sportowym, z koszulkowym kołnierzem, zapinanym pod szyję, lub otwartym i uzupełnionym odpowiednią krawatką z modnej wstążki cirée.

Równie dobry użytek odda wełniany kasaczek z lekkiej włóczki, która stwarza istne poematy przy pomysłowem sharmonizowaniu kolorów i ściegów. Te ostatnie stają się coraz bardziej skomplikowane i trudne do naśladowania, tak, że nie wystarczy studjowanie wzorów przez szyby okien wystawowych, jak to nieraz czynią praktyczne osóbki.

Najciekawiej i najobficiej przedstawia się dział bluzek wizytowych czy wieczorowych, które nosi się przy długiej spódniczce z czarnego jedwabiu. Ileż tu rozmaitości kroju i wykończenia, ile drobnych na pozór szczegółów, które w sumie dają całość niezwykle efektowną. Falbanki, zakładeczki, ryszki, wstążki, guziczki, oto drobiazki, które podnoszą wdzięk umiejętnie dobranego kroju bluzeczki wieczorowej. Dobór materjału też nie jest obojętnym, bo każdy jedwab, czy gaza mają swe wymagania i inaczej trzeba ich właściwości podkreślić i wykorzystać.

Wreszcie i brokaty i georgetty façounée dają równie piękne bluzeczki wieczorowe, czy będą to obcisłe fasony czy suto przymarszczane, zwłaszcza w rękawach.

Tak bogato nie przedstawiały się dotąd bluzeczki w żadnym sezonie. O ich wielkiem wzięciu zadecydował niewątpliwie moment ekonomiczny, bo łatwiej sprawić kilka bluzek niż kilka sukien. Ale to zresztą obojętne! Najważniejsze to, że perspektywa zimy i ciemnych sukien wełnianych jest urozmaicona inwazją barwnych i miłych bluz, sweterków i kasaków.

J. Z.

LUDZIE-PANTERY.

Ludożercy dziś w XX wieku?... w wieku radja i elektryczności w wieku, gdy w najdzikszych nawet zakątkach świata, w niedostępnych zda się dżunglach, czytamy, iż rozbrzmiewa z głośników radjowych muzyka jazz-bandowa, wznoszą się wygodne hotele, kursują samochody i autobusy. To wydawać może się jakąś bajką, czy kaczką dziennikarską a jednak niema w tem żadnej przesady, ani żadnej fantazji. Jeszcze jest kraj, w którym istnieją ludożercy i po dawnemu zjadają swoich bliźnich a fakty te bynajmniej nie są jakimś oderwanym przypadkiem, lecz zdarzają się na porządku dziennym. Ziemia ludożerców nie leży, jakby może kto sądził na jakiejś niezbadanej wyspie, zagubionej w bezkresnych przestworach Oceanu Spokojnego, lecz w jednej z francuskich kolonij afrykańskiej i to niedaleko od dość ruchliwych miast portowych, gdzie przybijają luksusowe statki transatlantyckie. Jest to francuska Gwinea a właściwie część jej zwana wybrzeżem Kości Słoniowej, na pograniczu murzyńskiej samodzielnej republiki Liberji.

Na brzegu Atlantyku rozłożyły się spore porty i nowoczesne miasta wybudowane przez Francuzów, jak Grand Bassan lub Grand Grevin, ale wewnątrz kraju rozciągają się jeszcze olbrzymie puszcze tropikalne, przez których splątaną gęstwinę nie przedrą się nawet promienie równikowego słońca. Kraina to wiecznego cienia — nieprzebyty gąszcz zakrywa puszczę z góry — nieprzebyty gąszcz zalega ją całą we wszystkich kierunkach. Panuje tam straszliwy parny upał, cięższy znacznie do zniesienia, niż na pustyniach. Grunt wilgotny, niepewny. Drzewa olbrzymie, oplecione potężnemi ramionami ljan — krzewy o ostrych, przecinających skórę kolcach. W dżunglach niepodzielnie króluje natura, rosną w niezliczonych odmianach przepyszne lecz często trujące kwiaty, żyją niezliczone odmiany zwierząt od groźnych czworonogów, aż do niemniej groźnych jadowitych owadów, których ukąszenie dla człowieka bywa śmiertelne.

W tych to właśnie ostępach zrzadka rozrzucone na nielicznych polanach rozłożyły się nędzne osiedla murzynów ludożerców.

Ludzie biali walczą z dżunglą. Nad brzegiem morza częściowo ją wytrzebili, wypalili lub wykarczowali. W głębi kraju w wielu miejscach przecięli stalową wstęgą szyn, lub też szosami, budowanemi z czerwonej, afrykańskiej gliny, które jak wąskie strumyczki krwi przebiegają puszczę. W głębi lądu również potworzono osiedla, pobudowano forty wojskowe, przeprowadzono pomiędzy niemi linje telefoniczne. Ale już o kilkaset metrów od tych wszystkich technicznych udoskonaleń, puszcza znowu jest wszechwładną królową. Murzyni pod ochroną jej nieprzebytego muru zieleni, żyją, jak żyli przed wiekami, odporni na wpływy cywilizacji. W dalszym ciągu składają krwawe ofiary, mordują się wzajemnie i zjadają tak, jak to czynili ich przodkowie.

Podróżnicy francuscy, lub też urzędnicy kolonjalni, którzy spędzili długie lata w Gwinei i poznali dokładnie obyczaje tubylców twierdzą i to z całą pewnością, że wypadki ludożerstwa dziś jeszcze zdarzają się na porządku dziennym. Jedni zjadają trupy, inni zaś zwani przez tubylców ludźmi-panterami i uważani za czarowników — pchani jakimś krwiożerczym instynktem, zachowanym tradycyjnie z przed lat może tysięcy, w nocy przebierają się w skóry pantery, z wprawionemi żelaznemi pazurami i w jakimś jakgdyby transie wlóczą się po puszczy, porywając samotne kobiety ,czy dzieci, mordując je a później pożerając. Żadnemu jednak dotąd białemu nie udało się podpatrzeć takiej właśniej ohydnej sceny, ale dowodów nie brak. Są osiedla, przy których niema wcale cmentarzy. Gdy się murzynów zapytać, gdzie chowają swoich umarłych, odpowiadają wymijająco, wskazując takie, czy inne miejsce. Nieraz urzędnicy europejscy chcąc sprawdzić, kazali przekopywać te wskazane miejsca i nigdy żadnych śladów, ani kości tam nie znaleziono.

W życiu codziennem, ludzie-pantery nie różnią się niczem od innych tubylców. Znani są tylko w swoich wioskach i tam budzą zgrozę, strach i mają władzę niemal, że nieograniczoną. Miejscowy murzyn nigdy władzom nie wyda ludożercy. Dlatego też walka z tą ohydną plagą w Gwinei jest niesłychanie utrudniona. Tylko przypadek może się tu przysłużyć. Gdy jednak władze kolonjalne zlapią takiego człowieka-panterę i udowodnią mu tę zbrodnię, to wówczas proceder jest krótki — kula w łeb lub stryczek.

W gorzystych okolicach centralnej Gwinei leży większa osada — miasteczko i stolica obwodu Man. Połączona doskonałą szosą z wybrzeżem posiada spory budynek administracyjny i garnizon wojsk kolonjalnych. Obwód ten, to najgroźniejsze centrum ludożerstwa w całej Afryce. Na pierwszy jednak rzut oka ludność tubylcza nie różni się niczem od spokojnych murzynów Kongą, czy Angoli. Spotykani na targu robią nawet wrażenie sympatyczne. Są rośli, doskonale zbudowani, szczególnie kobiety o ładnych, nawet delikatnych rysach. Na targowisku ruch i wesołość. Młode dziewczęta sprzedają w koszach smakołyki murzyńskie — smażoną szarańczę, termity gotowane w oleju palmowym itp. obrzydliwości i nikomu nawet przez myśl nie mogłoby przyjść, że między tymi ludźmi znajdować się mogą ludożercy. Ale wystarczy zajść do francuskiego komendanta obwodu i zapytać się go, co wie o lu-



Bożek afrykański.

dziach-panterach a usłyszy się opowieści, od których włosy mogą dęba stanąć.

Komendant takiego posterunku zwykle oficer kolonialny, pędzący samotny, odcięty od cywilizacji żywot, w ciężkich warunkach i straszliwym dla Europejczyka klimacie, na widok białego, który doń zawita nie posiada się z radości i stara się, jak tylko może ułatwić mu pobyt i dopomóc we wszystkiem. Jeden z przyrodników francuskich, który zawitał do Man miał możność zapoznać się dzięki uprzejmości komendanta posterunku ze wszystkiemi dokumentami i protokołami, tyczącemi się ludożerstwem. Opisał je później w prasie francuskiej. Podajemy jeden urywek z jego pamiętników.

Pomiędzy posterunkiem w Dukue nad rzeką N/Zo a rzeką Sasandra rozciąga się prawie, że niezbadana i nie do przebycia puszcza. Szosa z Dukue do Dalca przebiega przez część tego terytorjum i właśnie w pobliżu tej szosy, władze francuskie już wielokrotnie wpadły na ślad ludożerców. Wypadek, wyjęty z jednego protokółów sądowych wydarzył się w r. 1923. Otóż pewnego dnia — czytamy — trzy młode dziewczyny oddaliły się z osiedla w pobliżu szosy położonego i udały się do puszczy, by zbierać zioła i więcej do domów nie powróciły. Po dziesięciu dniach, matka jednej z nich doniosła o zaginięciu córki, komendantowi posterunku w Dukue, który też zarządził poszukiwania. Wszyscy naczelnicy tubylcy okolicz-



Murzyn z wybrzeża Kości Słoniowej, gdzie do dziś dnia kwitnie jeszcze ludożerstwo.

nych wiosek otrzymali rozkaz wziąć udział w tych poszukiwaniach. Jeden z tych naczelników, zwany Sidre Do odmówił swego udziału, tłumacząc się, że jest chory. Poszukiwania nie dały żadnego wyniku i miano już ich zaniechać, gdy nagle murzyn osadzony w więzieniu w Dukue i skazany za jakąś kradzież na rok więzienia, złożył komendantowi posterunku rewelacyjne zeznanie, mianowicie wyjawił, że ów naczelnik wioski Sidre Do jest najgroźniejszym czarodziejem w okolicy, znany jako człowiek-pantera i że on to niewątpliwie zamordował dziewczęta, a później razem z spólnikami pożarł.

Natychmiast przeprowadzono rewizję w chacie owego murzyńskiego naczelnika i rzeczywiście znaleziono zakopane u progu kości trzech kobiet. Zaaresztowano go niezwłocznie, lecz z początku murzyn kategorycznie wypierał się winy. Ale później widząc, że i tak los jego jest przesądzony, z największym spokojem przyznał się i opowiedział cały przebieg potwornej zbrodni.

Błąkając się pewnego wieczora po puszczy — mówił Sidre Do — zauważył on trzy kobiety zajęte zbieraniem ziół i wówczas nagle poczuł, że owładnęło nim szaleństwo, posłyszał jakby jakiś głos tajemniczy, który szeptał, że oto są ofiary i on Sidre Do, człowiek-pantera, musi je pożreć. Pobiegł więc czemprędzej do jedynie sobie znanego miejsca, gdzie ukrywał skórę pantery o żelaznych pazurach. Później zatańczył taniec śmierci, wznosząc dzikie okrzyki, powrócił do wioski, tam oznajmił o swoim zamiarze trzem jeszcze innym ludożercom i razem udali się do lasu, by zacząć ohydne polowanie na ludzkie mięso.

Najmłodszą z nieszczęśliwych ofiar zarżnięto nożem odrazu. Pozostałe dwie powiązano i zostawiono na później. Następnie zwłoki zamordowanej poćwiartowano według rytuału, upieczono kawałek mięsa na rozżarzonych węglach i do rana trwała potworna uczta. Nazajutrz zbiegło się na to miejsce około 20 ludzi-panter, pokolei zarzynano pozostałe ofiary i tydzień cały pożerano ich szczątki.

Oto co wyjaśnił komendantowi człowiek-pantera Sidre Do.

Władze kolonjalne schwytały wszystkich ludożerców i skazały ich na karę śmierci. Jednym z nich okazał się b. żołnierz senegalski, który w czasie wielkiej wojny cztery lata spędził na froncie zachodnim.

Cały dzień zeszedł mi — pisze w swoich pamiętnikach ów podróżnik francuski — na odczytywaniu tych potwornych dokumentów ludożerstwa. Wieczorem czułem się niedobrze, wiał gorący wiatr tornado, szalenie bolała mnie głowa. Postanowiłem więc przed spaniem przejść się nieco. Komendant posterunku zapewnił mnie, że w pobliżu osady nic grozić nie może. Gdy minąłem ostatnie chaty wioski, zajaśniała przedemną w świetle księżyca czerwonawym odblaskiem wstęga szosy. Po obu stronach drogi rozciągała się już dziewicza tajemnicza puszcza. Coś mnie ciągnęło w głąb tych borów. Myślałem o ludziach-panterach i zdawało mi się, że gdzieś tu w pobliżu słyszę uderzenia wielkiego bębna murzyńskiego tantanu. Jakaś ścieżka oddzielała się od szosy i prowadziła w las. Poszedłem. Ogarnęła mną parna, ciężka atmosfera dżungli. Wokół rozbrzmiewały tysiączne głosy nocnych ptaków, żerujących w puszczy. Cała dżungla zdawała się żyć i poruszać. Czułem się coraz gorzej. W skroniach pulsowała mi krew, z trudem tylko postępowałem naprzód. Ruszyłem w drogę powrotną do osiedla. Nagle ogarnął mnie jakiś przerażający strach. Zdało mi się, iż słyszę tuż za sobą jakieś szmery i kroki, że widzę w niepewnem świetle księżyca czołgającą się straszliwą postać człowieka-pantery. Zacząłem biec, w głowie szumiało mi, przed oczyma przelatywały czerwone plamy. I w tem coś gwałtownie chwyciło mnie za szyję. Jakieś potworne ramię. Rzuciłem się naprzód, chciałem się uwolnić od tego straszliwego uścisku, ale bezskutecznie. To człowiek-pantera przeleciało mi przez zgorączkowany mózg — jestem zgubiony. Czułem na swej szyi potworny, zionący zgnilizną oddech ludożercy. Bez uczucia upadłem na ziemię.

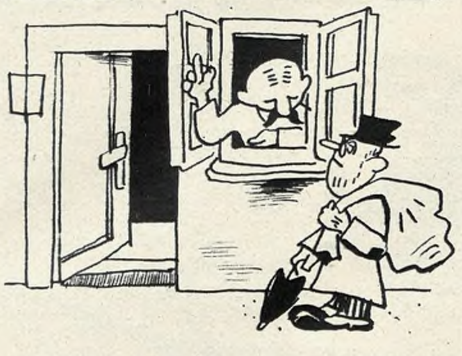
Obudziłem się nazajutrz w domu komendanta posterunku, nademną pochylała się stroskana jego twarz.

— Co też pan wczoraj robił w nocy, pytał mnie. Znaleziono pana zaplątanego w ljanach o kilkaset metrów od szosy. Przez kilka godzin szukałem pana wraz ze wszystkimi swymi ludźmi. To był atak febry, który pana obalił. Gdy u nas wieje tornado, nigdy nie można zagłębiać się w dżunglę. Całe szczęście, że uniknął pan ukąszenia jadowitej żmiji.

Opowiedziałem mu całą moją okropną halucynację.

Ach to ludzie-pantery takie na panu zrobiły wrażenie, zaśmiał się oficer. Na nas to już żadnego efektu nie robi, zanadto jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Ale szkoda, że pan nie był tu przed paru tygodniami, miałem u siebie trzy takie okazy w więzieniu, które odesłałem później do Grand Passa. Szczególnie jeden z nich był typem ogromnie ciekawym. Gdy go spytałem, dlaczego zjadał ludzi, odpowiedział mi z największym spokojem, że wówczas wchodzi w niego duch zwierzęcia-pantery i wtedy przestaje być człowiekiem a staje się bogiem. Tak było przed wiekami i tak nakazuje im tradycja. Trudna z niemi walka, ale jeszcze kilka lat a wytępimy tych zboczeńców.

Zna się na tem.



— Czy nie ma pan próżnych flaszek do sprzedania?
— Nie, ale niech pan idzie do Ciumcialskiego; jego żona nie wróciła jeszcze z lotniska...

Najwyższy czas.

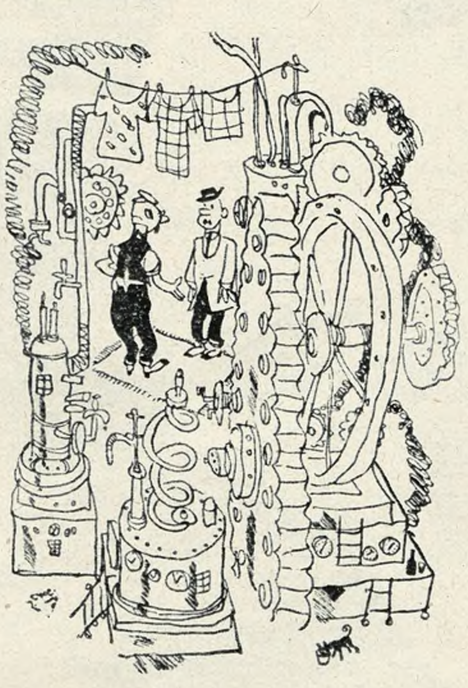


— Dobrze, żeś go zastrzelił, już dłużej nie mógł czekać...

„Smok domowy".



Wrażliwy.

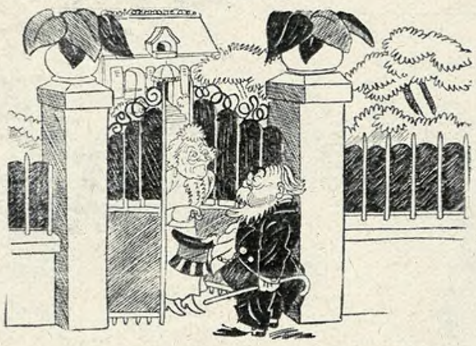


Czy słyszy pan ten hałas! To ma szyna do szycia sąsiada; i niech pan wyobrazi sobie, że to tak cały dzień, od 6 rano do 9 wieczór!

PRZY EGZAMINIE.

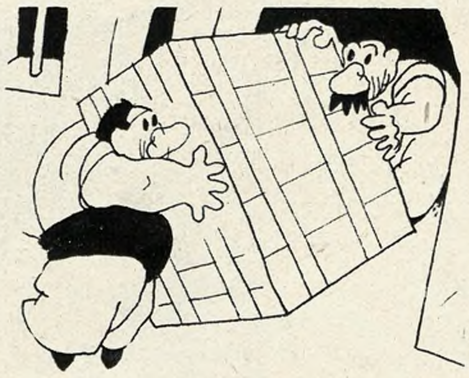
Profesor: Ależ pan nic nie umie, panie kandydacie! Czy może mi pan przynajmniej wymienić jakiś środek wywołujący poty?

— Tak! pańskie zapytanie, panie profesorze!



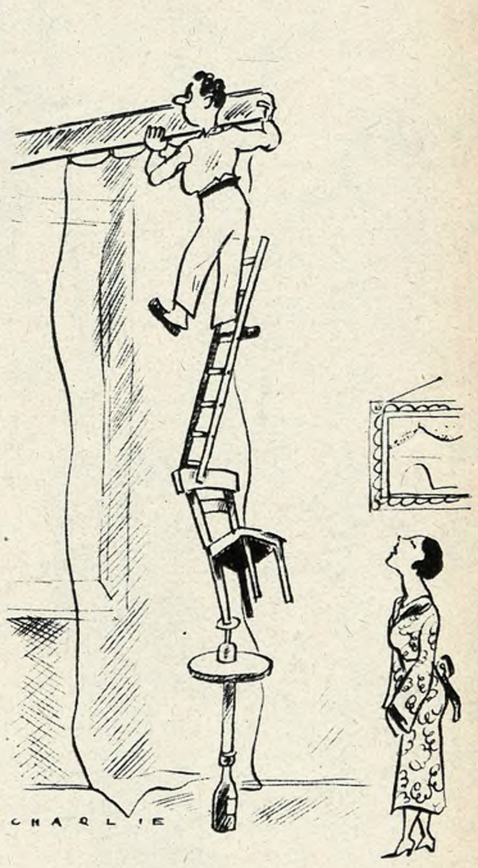
— Cóż to, żebrzecie w takim stroju?
— To tylko wyjątkowo; dzisiaj wydaję córkę zamąż.

Nieporozumienie.



— Do djabła, nie wniesiemy dzisiaj tej skrzyni?!...
— Wniesiemy?! Ja się już od kwadransa morduję, żeby ją wynieść!!!

Cyrkowcy u siebie.



Ona: Takiego niedołęgi jeszcze nie widziałam!!!

LECĄ LIŚCIE.

(Szarada).

(Ułoż. K. Szumanowa, czł. Warsz. Klubu Szar.).

Z za wstęgi lasu słońce rozlewa
trzy - czwór - trzynaste - mendel promienie, —
trzy - czwór - pięć rosa! Na smukłe drzewa
cztery - pięć - szóste liljowe cienie.

Godzina zmierzchu! Wiatr tylko płacze:
„Już **całe, całe** w naszym ogrodzie"...
Jesień obrywa liście tułacze
i **dwa jednaście** na ziemi, wodzie...

W **pięć - siódmej** swoje bogactwa dają
przyrodzie — brzózka i **pierwsza - czwarta**,
lecz starych buków zieleń uparta
wciąż się opiera smutnym zwyczajom,
czeka aż widmo klęski się ziści
i nie **czternaście - siedem** swych liści.

Winograd krwawo więdnąć zaczyna
i poi **trzecie - tuzin** swą krasą,
cudnie czerwieni się jarzębina
przybrana barwnych korali masą.

Lecz już nie śpiewa słowik przed nocą
i innych ptasząt nie słychać prawie;
siedem bociany już nie klekocą
ani nie krążą w chmurach żórawie.

Bo już **trzynaste - dziesiąte** swoje
Przeniosły teraz hen na południe
pięć - jedenaście - tuzin, gdzie cudnie
niebo rozlewa słoneczne zdroje.
Tam odleciały, **osiem** swe loty
rozwinąć w cieple promieni złotych.

Nad topolami niebo ciemnieje,
Zbladły obłoki złoto - różane,
pożółkłe liście tracąc nadzieję
lecą na ziemię wiatrem strącane.

Pod **dziewięć - szóstą** stopą wciąż mile
szeleszczą, szepcząc w smutku godzinie:
Chwytajcie szczęścia radosne chwile,
bo życie krótkie, a młodość minie!..

Za rozwiązanie niniejszej szarady, redakcja „Światowida" przeznacza

T R Z Y   N A G R O D Y.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

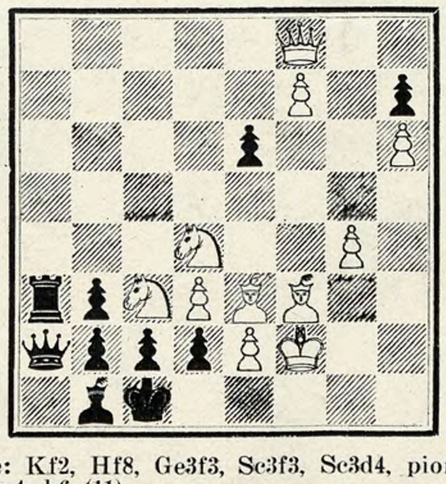
Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 30 września 1933 wraz z załączonym kuponem.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

V. Schirdewan (II nagroda w konkursie międzynarodowym „Zürcher Illustrirte" w r. 1932).

Czarne: Kc1, Ha2, Wa3, Gb1, piony: b2, b3, c2, d2, e6, h7, (10).



Białe: Kf2, Hf8, Ge3f3, Sc3f3, Sc3d4, piony: d3, e2, f7, g4, h6 (11).

3-chodówka. 11 + 10 = 21.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki V. Schirdewana:

1. G—a8! ad libitum 2. S—f3 i 3×.

PARTJA.

Białe: **Dr. O. Bernstein** Czarne: **O. Naegeli**

grana w międzynar. turnieju w Bernie w r. b.

Gambit hetmana.

1. d4 S—f6
2. c4 e6
3. S—f3 d5
4. S—c3 Sb—d7
5. G—f4 c6
6. e3 G—e7
7. h3 **(1)** 0—0
8. G—d3 d×c4
9. G×c4 S—d5
10. G—g3 S×c3
11. b×c3 H—a5 **(2)**
12. H—c2 c5
13. 0—0 c×d4
14. c×d4 S—f6
15. Wa—b1 a6? **(3)**
16. S—e5 Wf—e8
17. G—d3 H—d5 **(4)**
18. S—c4 G—d7 **(5)**
19. S—b6 H—c6
20. H—b2! S—d5 **(6)**
21. S×a8 **Czarne poddały się.**

UWAGI:

(1) Celem uniknięcia wymiany G za S.

(2) Strata tempa. Należało grać: b5, a6 i c5.

(3) Po tem posunięciu Czarne forsownie przegrywają. Należało grać: 15... b6, 16. W—b5 H—a3 (H—a6) 17. S—d2 (grozi S—b1) G—d8 18. S—e4 etc.

(4) Białe groziły: Se5—c4—b6. Gdyby 17... G—d8, to 18. Se5—c4 i — d6.

(5) 18... b5 stawiało dłuższy opór.

(6) Białe groziły zdobyciem hetmana przez: 21. Wf—c1.

Rozwiązanie z Nr. 36.

SZARADA: Masonerja — to trucizna narodów i jednostek.

REBUS: W mglistym Londynie, praca „Wielkich" ima, a kryzys nadal, jak trzymał, tak trzyma.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 36 nadesłali:

Dr. H. Opielińska, Środa; „Grenicheux", Warszawa; „Bebe"; Józef Maziarz, Ozorków; Władysława Wojtczakowa, Ozorków; „Wilnianin", Dubno; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; L. Pogoda, Jaworzno; Z. Pieracki, Wilno; Marja Szewiakowa, Wilno; **Wacław Tyblewski, Poznań (zł. 20.—)**; S. Marynowski, Łódź; Jadwiga Lisowa, Kraków; Władysława Gajowa, Poznań; Kazimierz Stankiewicz, Sosnowiec; Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Kazimierz Lilpop, Warszawa; Wiktor Banosiński, Poznań; L. Lenartowski, Poznań; Włodzimierz Szafrański, Poznań; Adam Borowicz, Poznań; Jadwiga Tyblewska, Poznań; „Jot-Ge", Warszawa; Wacław Gąsiorowicz, Łęczyca; Terena Zacherowa; Władysław Bukowski, Prądnik Czerwony; Władysław Kurkiewicz, Kraków; Józef Szczurek, Łagiewniki; Marjan Jagusiński, Kraków; „Wiesław"; J. Bielenia, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; Marja Hirschenfeld, Węgrów; „Niezapominajka"; „Tuberoza"; **Bronisława Pilchówna, Kraków (zł. 10.—)**; Wiktorja Mikołajczykówna, Kraków; „Jawnuta", Słonim; Czesław Kozłowski, Warszawa; Ewa Brzozowska, Warszawa; Baltazar Sobocki, Zbiersk; ks. Leopold Klementowski, Tarnopol; Marja Strubel; Jawna Kowalska, Warszawa; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Antonina Krążel, Kraków; Henryk Wanat, Kraków; **Jan Bajdo, gmina Łęg (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 października 1933)**; Karol Solarz, Kraków; Wojciech Ciepiela, Kraków; Stefan Leracz, Poznań.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Wacława Tyblewskiego, Poznań (zł. 20.—), Bronisławę Pilchówną, Wieczysta Nr. 158, p. Kraków (zł. 10.—) i Jana Bajdo, gmina Łęg (prenumerata mies. „Światowida" od 1 — 31 października 1933).

Redakcja „Światowida" nagrody pieniężne prześle niebawem.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 39 upoważniający do losowania nagrody



Murzynki z nad Zambezi.

Francis G. Fürst.



MARION DAVIES.

Uroda Marion Davies nie jest oszałamiająca. Ma ona wprawdzie duże i ładne oczy, pięknie sklepione czoło, śliczne włosy i świeże usta, ale wszystko to razem tworzy całość trochę sztywną i zimną. Ale właśnie takie typy zimne i opanowane podobają się dzisiaj, i dlatego Marion ma ogromne rzesze... gorących wielbicieli.

„Urodziłam się cyganką...“

WYWIAD Z POLĄ NEGRI.

— Pańskie zdrowie! — zawołała Pola Negri z uśmiechem i wychyliliśmy kieliszki doskonałego „Martini-dry“.

Spotkałem ją poprzedniego dnia poraz pierwszy w atmosferze nieopisanego chaosu i zdenerwowania. Artystka kręciła sceny w studjo paryskiem pod kierownictwem Gastona Ravela. Oczywiście w tych warunkach nie można było prosić o wywiad i rola moja skończyła się na podpatrywaniu gry aktorki w scenach nowego filmu p. t. „Fanatyczka“.

Osobiście byłem po cichu przekonany, że Pola Negri przeszła już okres swojej świetności i że jest już sławą nieco przebrzmiałą. Tymczasem wigor i rozmach z jakiemi odegrała sceny w nowym filmie, przekonały mnie, iż myliłem się zupełnie. Film zapowiada się się świetnie.

Korzystając z przerwy w kręceniu, udałem się na chwilę rozmowy do artystki, która wyznaczyła mi spotkanie w hotelu.

I teraz oto siedzę w eleganckim apartamencie Poli Negri przed rzędem cocktailów. Pola Negri ubrana w bardzo prostą i gustowną suknię z białego jedwabiu, która o-



Pola Negri.

pada aż na srebrzyste pantofelki, siedzi na kanapie i patrzy na mnie swojemi szmaragdowemi oczyma. Jest świeża i wypoczęta. Cały pokój jest przepełniony kwiatami. Artystka woła pokojówkę i rozkazuje jej:

— Marjo, wynieś te kwiaty, przypominają mi śmierć!

— Powinna być pani z nią oswojona, — żartuję — przecież niedawno była pani tak bliską śmierci!

— Ma pan zupełną rację. Tylko dzięki temu, że zarabiam 20.000 dolarów miesięcznie, mogłam się wykupić śmierci. Podziwiam doprawdy naszą epokę, w której dzięki cudom medycyny można sobie kupować życie i zdrowie.

—Przypuszczam raczej, że to bardziej wola pani życia zaważyła w tej sprawie, aniżeli pani książeczka czekowa.

— Oczywiście pragnę żyć, gdyż uwielbiam życie.

— Swoją drogą, życie pani nie musi być bynajmniej łatwe. Jest pani niewolnicą rozmaitych wizyt, nudy, obowiązków, jakie nakłada na aktora ustawiczne powtarzanie scen w studjo, lekcji śpiewu, lekcji tańca itd.

— Oczywiście, życie moje nie jest bynajmniej łatwe, a jednak jestem przekonana, że nie potrafiłabym już żyć inaczej. Jestem „zwierzęciem teatralnem“, a nałóg sztuki jest tak silnie we mnie zakorzeniony, iż niepotrafiłabym oddychać innem powietrzem. Dzisiaj widzę, jak ogromne błędy popełniłam swojego czasu, zrywając ze sztuką i odrzucając wszystkie kontrakty. Znajdowałam się wówczas u szczytu mojej karjery i odsunęłam wszelkie sukcesy po to tylko, aby zamieszkać w zamku. Ja — w zamku!

Pola Negri zaśmiała się wesoło, ukazując olśniewające zęby.

— Ja, która urodziłam się cyganką! Jestem stworzona tylko do życia koczowniczego i dzisiaj widzę, że te trzy lata, spędzone na gładkich parkietach, były dla mnie zmarnowane. Straciłam trzy najpiękniejsze swoje lata. Dochodzę do przekonania, że osoba taka jak ja, nie powinna wychodzić za mąż. Lepiej jest żyć swobodnie, bez żadnych zobowiązań, a zwłaszcza zobowiązań towarzyskich. Przez trzy latą żyłam pod kloszem, przy boku mężczyzny, który nie rozumiał sztuki...

— Kto wie, gdyby pani wyszła była swojego czasu za Rudolfa Valentino, — wtrącam — czy karjera pani byłaby całkiem inną. Jeżeli chodzi o publikę, to patrzałaby ona z największą sympatją na tego rodzaju małżeństwo filmowe.

Przez twarz artystki przesuwa się cień.

— Niestety, dzisiaj zapóźno o tem mówić. Grała tutaj rolę siła wyższa. Nie nadarmo istnieje przysłowie, iż bogowie zabierają wcześnie swoich ulubieńców...

— Czy może mi pani powiedzieć co o swoich nowych filmach?

— Pierwszy z nich nosi tytuł „Namiętność“. a drugi „Fanatyczka“. Jak pan widzi, tytuły są mocno podniecające.

— Czyżby wynikało z tego, iż sama ich bohaterka jest osobą chłodną?

— Nie ufam dziennikarzom, więc nie mogę panu nic powiedzieć na ten temat. Nie wyciągnie mnie pan na słówka — odpowiada artystka, śmiejąc się i zakrywając swoje źrenice długiemi rzęsami.

— Przed chwilą zarzekła się pani, że nie wyjdzie pani już za mąż. Równocześnie jednak rozchodzą się pogłoski, iż ma pani wyjść za słynnego tenora i bogacza Mac Cormicka?

— Powiadają, że niema dymu bez ognia... W każdej plotce jest pono jakieś ziarnko prawdy... Kiedy jednak pomyślę o mojem poprzedniem małżeństwie, czuję, że nie powinnam popełnić drugi raz tego nierozsądnego kroku. Narazie mam w głowie tylko film. a potem z Paryża wyjeżdżam do Nowego Jorku, aby zagrać w filmie p. t. „Ucieczka z Bratysławy‘. Potem mam długie wakacje. Nie wybiorę się jednak do Europy, którą znam za dobrze, ale do Japonji, Chin, Indji i prawdopodobnie do Rosji. Kto wie, czy nie nakręcę w Rosji jakiegoś filmu...

Ole Windig.

SMOSARSKA PO WYWCZASACH.



Jadwiga Smosarska (pierwsza od prawej) w czasie przechadzki po Avignonie we Francji, w towarzystwie egzotycznego oficera francuskich wojsk kolonjalnych.

Jadwiga Smosarska powróciła do Warszawy z kilkutygodniowych wywczasów, które spędziła częściowo w Paryżu, — częściowo na Riwierze francuskiej w Juan-Les-Pins.

Wygląda świetnie, zdrowo, opaliła się na złocisto, zeszczuplała jeszcze bardziej, co podkreśla młodzieńczą smukłość jej sylwetki, w krótkich włosach jest jej ślicznie...

— Czy to prawda, że w Paryżu pertraktowała pani z amerykańskiemi wytwórniami, które zwróciły się do pani z wielce ponętnemi propozycjami?...

— Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie, bo nie lubię mówić o rzeczach niezupełnie jeszcze skonkretyzowanych... W każdym razie zaznaczam, że wcale nie palę się specjalnie do tych amerykańskich projektów...

Artystka opowiada mi o swoim pobycie w Juan-les-Pings... Spotkała się z tam Polą Negri i razem spędziły wiele miłych chwil...

W Juan-les-Pins bawiła wówczas również Marlena Dietrich i francuska gwiazda ekranu Odette Florelle.

— Jakże się pani podobała Marlena Dietrich?

— Bliżej się z nią nie zetknęłam, a jeśli chodzi o powierzchowne wrażenie, to nie powiem, aby było zbyt korzystne... Trochę zanadto sztuczna, wystylizowana, upozowana...

— A Odetto Florelle?

— Dobiega już czterdziestki i dopiero teraz zaczęła karjerę filmową...

Zapytuję „gwiazdę“ polskiego ekranu o jej plany na najbliższą przyszłość.

— Wkrótce zaczynam zdjęcia do filmu „Prokurator Alicja Horn“. Rola ta bardzo mnie interesuje, bo jest silna w wyrazie i zupełnie odmienna w charakterze od ról, które dotychczas grywałam...

— A cóż z teatrem?

— O tem nie myślę narazie, bo są pewne rzeczy, które mi chwilowo utrudniają decyzję w sprawach teatralnych.

Migowa.

RENATA MÜLLER.



Renata Müller.

Renata Müller należy do najmłodszego pokolenia filmowego. Jest to bezsprzecznie jedna z najlepszych artystek niemieckich. Pochodzi z Monachjum, gdzie ojciec jej był dziennikarzem. W 16-tym roku życia przenosi się do Gdańska. Interesuje się bardzo sztuką, pisze wiersze i przepada za sportami. Lubi także tańczyć. Po raz pierwszy tańczy na publicznym balu na pokładzie pancernika angielskiego, który zawitał do portu. Pragnąc być wszechstronną, studjuje z zamiłowaniem filozofję ścisłą a przedewszystkiem Szopenhauera i Nietzschego a także kształci się w śpiewie. Na wielkie wody wypływa dopiero w Berlinie (1924), gdzie zapisuje się do szkoły Reinhardta. Tutaj spotyka się ze słynnym reżyserem Pabstem. W rok później dostaje engagement do teatru w Harzu. Jako Helena w „Śnie nocy letniej“ wybija się na czoło zespołu. Gra potem w różnych teatrach berlińskich. Przed objektywem staje dopiero w 1929 r. już jako znakomita artystka sceniczna. Jej pierwszy film „Piotr marynarz“ otwiera przed nią perspektywy wspaniałej karjery filmowej. Dalsze etapy jej sławy to filmy „Syn białych gór“ (1930), „Ulubieniec Bogów“, gdzie partnerem jej jest Emil Jannings, „Koncert na flecie w Sanssouci“, „Pieśń miłości“ itd. Renata Müller to słodka, bezpretensjonalna dziewczyna, która czaruje widzów naturalnością swej gry i ogromnym wdziękiem. Doskonale zbudowana, wysportowana i zgrabna niesie na ekranie czar swojej młodości i przemawia do tłumu językiem zrozumiałym, w którym brzmi nuta szczerości.

„Urodziłam się cyganką...“

WYWIAD Z POLĄ NEGRI.

— Pańskie zdrowie! — zawołała Pola Negri z uśmiechem i wychyliliśmy kieliszki doskonałego „Martini-dry“.

Spotkałem ją poprzedniego dnia poraz pierwszy w atmosferze nieopisanego chaosu i zdenerwowania. Artystka kręciła sceny w studjo paryskiem pod kierownictwem Gastona Ravela. Oczywiście w tych warunkach nie można było prosić o wywiad i rola moja skończyła się na podpatrywaniu gry aktorki w scenach nowego filmu p. t. „Fanatyczka“.

Osobiście byłem po cichu przekonany, że Pola Negri przeszła już okres swojej świetności i że jest już sławą nieco przebrzmiałą. Tymczasem wigor i rozmach z jakiemi odegrała sceny w nowym filmie, przekonały mnie, iż myliłem się zupełnie. Film zapowiada się się świetnie.

Korzystając z przerwy w kręceniu, udałem się na chwilę rozmowy do artystki, która wyznaczyła mi spotkanie w hotelu.

I teraz oto siedzę w eleganckim apartamencie Poli Negri przed rzędem cocktailów. Pola Negri ubrana w bardzo prostą i gustowną suknię z białego jedwabiu, która o-



Pola Negri.

pada aż na srebrzyste pantofelki, siedzi na kanapie i patrzy na mnie swojemi szmaragdowemi oczyma. Jest świeża i wypoczęta. Cały pokój jest przepełniony kwiatami. Artystka woła pokojówkę i rozkazuje jej:

— Marjo, wynieś te kwiaty, przypominają mi śmierć!

— Powinna być pani z nią oswojona, — żartuję — przecież niedawno była pani tak bliską śmierci!

— Ma pan zupełną rację. Tylko dzięki temu, że zarabiam 20.000 dolarów miesięcznie, mogłam się wykupić śmierci. Podziwiam doprawdy naszą epokę, w której dzięki cudom medycyny można sobie kupować życie i zdrowie.

—Przypuszczam raczej, że to bardziej wola pani życia zaważyła w tej sprawie, aniżeli pani książeczka czekowa.

— Oczywiście pragnę żyć, gdyż uwielbiam życie.

— Swoją drogą, życie pani nie musi być bynajmniej łatwe. Jest pani niewolnicą rozmaitych wizyt, nudy, obowiązków, jakie nakłada na aktora ustawiczne powtarzanie scen w studjo, lekcji śpiewu, lekcji tańca itd.

— Oczywiście, życie moje nie jest bynajmniej łatwe, a jednak jestem przekonana, że nie potrafiłabym już żyć inaczej. Jestem „zwierzęciem teatralnem“, a nałóg sztuki jest tak silnie we mnie zakorzeniony, iż niepotrafiłabym oddychać innem powietrzem. Dzisiaj widzę, jak ogromne błędy popełniłam swojego czasu, zrywając ze sztuką i odrzucając wszystkie kontrakty. Znajdowałam się wówczas u szczytu mojej karjery i odsunęłam wszelkie sukcesy po to tylko, aby zamieszkać w zamku. Ja — w zamku!

Pola Negri zaśmiała się wesoło, ukazując olśniewające zęby.

— Ja, która urodziłam się cyganką! Jestem stworzona tylko do życia koczowniczego i dzisiaj widzę, że te trzy lata, spędzone na gładkich parkietach, były dla mnie zmarnowane. Straciłam trzy najpiękniejsze swoje lata. Dochodzę do przekonania, że osoba taka jak ja, nie powinna wychodzić za mąż. Lepiej jest żyć swobodnie, bez żadnych zobowiązań, a zwłaszcza zobowiązań towarzyskich. Przez trzy latą żyłam pod kloszem, przy boku mężczyzny, który nie rozumiał sztuki...

— Kto wie, gdyby pani wyszła była swojego czasu za Rudolfa Valentino, — wtrącam — czy karjera pani byłaby całkiem inną. Jeżeli chodzi o publikę, to patrzałaby ona z największą sympatją na tego rodzaju małżeństwo filmowe.

Przez twarz artystki przesuwa się cień.

— Niestety, dzisiaj zapóźno o tem mówić. Grała tutaj rolę siła wyższa. Nie nadarmo istnieje przysłowie, iż bogowie zabierają wcześnie swoich ulubieńców...

— Czy może mi pani powiedzieć co o swoich nowych filmach?

— Pierwszy z nich nosi tytuł „Namiętność“. a drugi „Fanatyczka“. Jak pan widzi, tytuły są mocno podniecające.

— Czyżby wynikało z tego, iż sama ich bohaterka jest osobą chłodną?

— Nie ufam dziennikarzom, więc nie mogę panu nic powiedzieć na ten temat. Nie wyciągnie mnie pan na słówka — odpowiada artystka, śmiejąc się i zakrywając swoje źrenice długiemi rzęsami.

— Przed chwilą zarzekła się pani, że nie wyjdzie pani już za mąż. Równocześnie jednak rozchodzą się pogłoski, iż ma pani wyjść za slynnego tenora i bogacza Mac Cormicka?

— Powiadają, że niema dymu bez ognia... W każdej plotce jest pono jakieś ziarnko prawdy... Kiedy jednak pomyślę o mojem poprzedniem małżeństwie, czuję, że nie powinnam popełnić drugi raz tego nierozsądnego kroku. Narazie mam w głowie tylko film, a potem z Paryża wyjeżdżam do Nowego Jorku, aby zagrać w filmie p. t. „Ucieczka z Bratysławy“. Potem mam długie wakacje. Nie wybiorę się jednak do Europy, którą znam za dobrze, ale do Japonji, Chin, Indji i prawdopodobnie do Rosji. Kto wie, czy nie nakręcę w Rosji jakiegoś filmu...

Ole Windig.

SMOSARSKA PO WYWCZASACH.



Jadwiga Smosarska (pierwsza od prawej) w czasie przechadzki po Avignonie we Francji, w towarzystwie egzotycznego oficera francuskich wojsk kolonjalnych.

Jadwiga Smosarska powróciła do Warszawy z kilkutygodniowych wywczasów, które spędziła częściowo w Paryżu, — częściowo na Riwierze francuskiej w Juan-Les-Pins.

Wygląda świetnie, zdrowo, opaliła się na złocisto, zeszczuplała jeszcze bardziej, co podkreśla młodzieńczą smukłość jej sylwetki, w krótkich włosach jest jej ślicznie...

— Czy to prawda, że w Paryżu pertraktowała pani z amerykańskiemi wytwórniami, które zwróciły się do pani z wielce ponętnemi propozycjami?...

— Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie, bo nie lubię mówić o rzeczach niezupełnie jeszcze skonkretyzowanych... W każdym razie zaznaczam, że wcale nie palę się specjalnie do tych amerykańskich projektów...

Artystka opowiada mi o swoim pobycie w Juan-les-Pings... Spotkała się z tam Polą Negri i razem spędziły wiele miłych chwil...

W Juan-les-Pins bawiła wówczas również Marlena Dietrich i francuska gwiazda ekranu Odette Florelle.

— Jakże się pani podobała Marlena Dietrich?

— Bliżej się z nią nie zetknęłam, a jeśli chodzi o powierzchowne wrażenie, to nie powiem, aby było zbyt korzystne... Trochę zanadto sztuczna, wystylizowana, upozowana...

— A Odetto Florelle?

— Dobiega już czterdziestki i dopiero teraz zaczęła karjerę filmową...

Zapytuję „gwiazdę“ polskiego ekranu o jej plany na najbliższą przyszłość.

— Wkrótce zaczynam zdjęcia do filmu „Prokurator Alicja Horn“. Rola ta bardzo mnie interesuje, bo jest silna w wyrazie i zupełnie odmienna w charakterze od ról, które dotychczas grywałam...

— A cóż z teatrem?

— O tem nie myślę narazie, bo są pewne rzeczy, które mi chwilowo utrudniają decyzję w sprawach teatralnych.

Migowa.

RENATA MÜLLER.



Renata Müller.

Renata Müller należy do najmłodszego pokolenia filmowego. Jest to bezsprzecznie jedna z najlepszych artystek niemieckich. Pochodzi z Monachjum, gdzie ojciec jej był dziennikarzem. W 16-tym roku życia przenosi się do Gdańska. Interesuje się bardzo sztuką, pisze wiersze i przepada za sportami. Lubi także tańczyć. Po raz pierwszy tańczy na publicznym balu na pokładzie pancernika angielskiego, który zawitał do portu. Pragnąc być wszechstronną, studjuje z zamiłowaniem filozofję ścisłą a przedewszystkiem Szopenhauera i Nietzschego a także kształci się w śpiewie. Na wielkie wody wypływa dopiero w Berlinie (1924), gdzie zapisuje się do szkoły Reinhardta. Tutaj spotyka się ze słynnym reżyserem Pabstem. W rok później dostaje engagement do teatru w Harzu. Jako Helena w „Śnie nocy letniej“ wybija się na czoło zespołu. Gra potem w różnych teatrach berlińskich. Przed objektywem staje dopiero w 1929 r. już jako znakomita artystka sceniczna. Jej pierwszy film „Piotr marynarz“ otwiera przed nią perspektywy wspaniałej karjery filmowej. Dalsze etapy jej sławy to filmy „Syn białych gór“ (1930), „Ulubieniec Bogów“, gdzie partnerem jej jest Emil Jannings, „Koncert na flecie w Sanssouci“, „Pieśń miłości“ itd. Renata Müller to słodka, bezpretensjonalna dziewczyna, która czaruje widzów naturalnością swej gry i ogromnym wdziękiem. Doskonale zbudowana, wysportowana i zgrabna niesie na ekranie czar swojej młodości i przemawia do tłumu językiem zrozumiałym, w którym brzmi nuta szczerości.

SYLVIA SYDNEY
PO RAZ PIERWSZY W EUROPIE



Paryż, wrzesień.

Pamiętamy wszyscy, jak to nie tak dawno temu, po procesie Clary Bow przeciw jej sekretarce Daisy de Voe, ulubienica całego świata, jedyna podobno gwiazda, która miała owo słynne „coś", wiecznie roześmiana Clara zachorowała ciężko. Ciężko i niebezpiecznie na nerwy. Zresztą niebardzo wiadomo czy naprawdę zachorowała, czy też opinja publiczna, tak bardzo silna w Ameryce, rozpoczęła przeciw rudowłosej bogince zaciętą kampanję. Na procesie bowiem sekretarka broniąc się, zdradziła wiele prywatnych spraw Clary, które niebardzo spodobały się publiczności. Dość, że Clarę odsunięto od filmu, że wyjechała na dziki Zachód, żyjąc na ranchu swego męża, jak w domu poprawczym. Nie znaczy to, by ten pobyt miał być taki karzący i jakoby oczyszczający, ale był zato świetnym narzędziem reklamy i staraniem się o względy utracone tak nagle, u publiczności.

Gdy Clara wyjechała, rola dopieroco jej przeznaczona w filmie „City streets" musiała być obsadzona kim innym. I wkrótce potem wszystkie dzienniki opublikowały fotografję nieśmiałej dziewczyny o gładkiej fryzurze z nieondulowanych włosów, o uśmiechu nieco bezradnym, trochę dziecinnym. „Następczyni Clary Bow" — nazywano ją. Ale w niczem nie przypominała Clary. I wątpiono już wtedy, zanim zobaczono ją na ekranie, czy ta nieznana Sylvia Sidney zdobędzie w naszych sercach to miejsce, które było udziałem Clary Bow.

Zobaczyliśmy wreszcie film „City Streets". Film był trzykrotną rewelacją: objawił nam wspaniały talent nowego reżysera, Mamouliana, pokazał nam nowy zupełnie rodzaj gangsterskiego filmu i ofiarował nam nową, wzruszającą gwiazdę. Wcale niepodobna do Clary, to prawda, nawet talent wręcz różny. Tam wybuchowość, tu skupienie, tam uśmiechnięty wdzięk, tu czułość, prostota; tam lekkość, tu w głosie słyszymy głębokie tony przeżycia, tu dziewczyna, która cierpi i kocha, poświęca się i — kocha, i jak kocha! Potrafi okazać swe serce, zupełne oddanie, wiarę, ufność. Wszystkie te uczucia malują na jej dziewczęcej twarzyszce z niezwykłą wyrazistością.

Jeszcze pamiętamy film Sternberga „Tragedja amerykańska", gdzie powierzono Sylvji odpowiedzialną rolę Roberty, ufnej, kochającej, cierpiącej dziewczyny, ponoszącej śmierć z ręki ukochanego. Jeszcze pamiętam jej cichy, bezradny głos, gdy pytała przez telefonu, czy „on" przyjedzie... Filmem tym Sylvia ugruntowała sobie sławę, po nim przyszedł szereg innych, jak „Cudotwórca", „Z radością idziemy do piekła", „Confessions af a Co-Ed" (z życia szkolnego) i „Ladies of the Big-House" (z życia więziennego). I zupełnie niedawno widzieliśmy ją słodką, wzruszającą, pełną delikatnego wdzięku w roli biednej Cho-Cho-San w „Madame Butterfly". Film za filmem — nowy triumf. Coraz wyższa klasa gry, coraz więcej delikatnych odcieni, coraz więcej wyrafinowanej prostoty. I powoli wygląd Sylvji się zmieniał: włosy zaczęły się bardziej falować, układane umiejętną ręką fryzjera, brwi stawały się cieńsze i wyższe rzęsy dłuższe, linja ust zmieniła wykrój, pierwotny szorstki wdzięk stał się naiwną słodyczą.

Gdy zapowiedziano przyjazd Sylvji, kto tylko mógł, pobiegł na dworzec by obraz ulubionej aktorki znany z „fabryki snów" skonfrontować z rzeczywistością. Kto ją lubił, oczekiwał z niepokojem i lękiem, że jakby w konsekwencji jej awantury z „Paramountem", ucieczki z Hollywood wśród rozpoczętego filmu Sylvia okaże się dumną gwiazdą, pewną siebie i traktującą wszystkich zgóry. A tymczasem ukazała się naszym oczom drobna, miła, uśmiechnięta na swój smutno-teskny sposób, wyglądająca raczej na pensjonarkę, niż gwiazdę. Miała wygląd bardzo zażenowany, niewiele mówiła, przyrzekła tylko przyjąć wkrótce prasę.

Przyjęcie dla nas wydał szef reklamy. To znaczy, że cały „skandal" (jak pisano w prasie) hollywoodzki został nietylko doskonale załagodzony, ale posłużył do reklamy przedwstępnej: przed przyjazdem Sylvji do Europy.

— „Film, w którym byłam partnerką Chevaliera, nazywa się „The way to love". W wersji francuskiej gra Jaqueline Francell. Ja rozpoczęłam wersję angielską, która i tak nie byłaby u was wyświetlana — tłumaczy Sylwja — a zastępuje mnie teraz Ann Dvorak, bardzo śliczna...

— Czy to prawda, że pani urodziła się w Szanghaju?

— Ależ nie, w New-Yorku poprostu. I tam się wychowałam, tam rozpoczęłam pracę w teatrze...

— Od kiedy pani zaczęła myśleć o kinie, teatrze?

— Od zawsze, nigdy nie myślałam, że może być inaczej. A mój ojciec na tyle był rozsądny, że nie stawiał mi żadnych przeszkód. Chociaż sam wcale nie był artystą, potrafił mnie zrozumieć.

— A czem był pani ojciec?

— Dentystą — odpowiada krótko, jakby, nie wiedzieć dlaczego, zawstydzona.

— Dlaczego właściwie pani uciekła z Hollywood?

Sylwja milczy przez chwilę, jakby chciała sobie ułożyć odpowiedź wszystko wyjaśniającą, a nieobrażającą jej firmy:

— Chora byłam na gardło, lekarze nakazali odpoczynek, bałam się komplikacyj, a zdjęcia były już rozpoczęte. Musiałam wy jechać do doktora w New-Yorku.

— A teraz jak się pani czuje?

— Jestem zdrowa, druga operacja udała się, ale jestem zmęczona. Od dwóch lat nie miałam urlopu. I teraz, zaraz po skończeniu „Madame Butterfly" miałam ciężką, pełną natężenia pracę przy nowym filmie, według znanej, jak „Tragedja amerykańska" książki także Dreisera p. t.: „Jennie Gerhardt". Jest to historja całego życia młodej dziewczyny z niższej sfery, niż jej ukochany. Względy towarzyskie, rodzinne i majątkowe rozdzielają ich na całe życie, a żyją przecież ciągle i zawsze tylko dla siebie. Historja ta jest powikłana, ale zato bardzo życiowa, psychologiczna i wiele przyjemności sprawiła mi ta rola. Myślę, że to pewno najlepszy mój film".

Powiedziawszy naraz tak dużo, Sylvja uśmiecha się do wszystkich. Jej nieco skośne oczy stają się wąskiemi szparkami, a okrągłe, jak jabłka policzki podjeżdżają nieco wgórę, że staje się teraz bardzo podobna do „Madame Butterfly". W tej chwili szef reklamy, taki starszy pan, podchodzi do niej z kieliszkiem coctailu, trącamy się z nią wszyscy i pijemy za powodzenie jej dalszych, nowych filmów. I po chwili Sylvja znika za drzwiami biura...

Alicja Brun.

---

dobry film, jak „Nocne sądy" van Dycka, który nie miał powodzenia tylko dlatego, że skonstruowany jest podobnie jak polskie powieści kryminalne jednego z autorów. Przez cały czas trwania filmu zwyciężają zbrodniarze i przestępcy, policja niczego nie może wyśledzić, nic nie wie, niczego nie widzi, nic jej się nie udaje, a dopiero na ostatnich dwu kartach książki, czy na ostatnich kilkunastu metrach filmu, zwycięża sprawiedliwość i okazuje się, że „oni już dawno wszystki wiedzieli". Za mało jest tej przyjemności w stosunku do wszystkich przeżytych przykrości, za mała satysfakcja za cierpienia niewinnych ludzi. Najlepszą byłaby w kinie sprawiedliwość całkowicie prymitywna — oko za oko, ząb za ząb — skórę psiakrew zdzierać z takiego zbrodniarza, który krzywdzi niewinną dziewczynę.

Co do moralności jednak, to publiczność jest daleko bardziej postępową, niż cenzura w poszczególnych państwach, tu można sobie pozwolić na wszystko, na co pozwoli cenzor. Bo nawet ta przedwojenna ciocia, która dla swoich siostrzenic radaby zachować reguły klasztorne — same stuprocentowe dziewice — w jej przekonaniu naturalnie—bardzo chętnie ogląda na filmach wyrazy nowej tworzącej się moralności. Tak — w dzisiejszych przejściowych czasach nie zawsze dobrze wiadomo, co jest moralne, a co niemoralne. Na filmach pragniemy zawsze zobaczyć rzeczy nowe — bo przereklamowany „Kochanek Lady Chattrelay" budzi już tylko rozczarowanie. Można pokazać wszystko, najbardziej nawet „nieskromne" filmy, musi się tylko pamiętać o jednem najważniejszem przykazaniu, że te wszystkie nowe prawdy życiowe muszą być ujęte w artystyczną formę, muszą być piękne! Dziś żadna już najbardziej fanatyczna dewotka nie będzie żądała, by artystyczny posąg zakrywać — listkiem figowym. Można zawsze powiedzieć i pokazać wszystko, tylko trzeba wiedzieć w jakiej formie.

DEBIUT FILMOWY W KRAKOWIE.

W ubiegłym tygodniu odbył się dla prasy i zaproszonych gości, w kinie Uciecha w Krakowie pokaz krótkometrażowych filmów, nakręconych przez amatorów i debiutantów w tej dziedzinie.

Dwa krótkie filmy „Zbrodniarza" i „Impresje mimiczne" pokazał nam p. Gustaw Puchalski, jeden film „Jej list" p. Jan Szwedo. Pierwszy film pana Puchalskiego, to pokaz morderstwa i wyrzutów sumienia zbrodniarza, drugi — to wizje obląkanego. W obu filmach p. Puchalski (jak to zaznaczył p. Witold Zechenter w swojem słowie wstępnem), chciał tylko pokazać siebie, jako aktora i cel swój w zupełności osiągnął. Nie ulega wątpliwości, że p. Puchalski posiada duży talent aktorski, nie ulega też wątpliwości, że zmarnuje się kompletnie, jeśli nikt nie udzieli mu pomocy, bo dziś to, co osiągnął, osiągnął jedynie i wyłącznie własnym wysiłkiem. Sam był aktorem, sam reżyserem, sam scenarzystą, sam montował swoje obrazki i sam je — finansował. Trudno wymagać od jednego człowieka tak wszechstronnego talentu i dlatego musiały być w tych filmach pewne niedociągnięcia, jednak z podziwem musimy się odnieść do rzetelnego wysiłku, jaki w te filmy został włożony.



Jan Szwedo, twórca filmu „Jej list".

Zupełnie inny typ filmu przedstawiał obraz p. Szwedy. W „Jej Listach" nie było niesamowitości, nie było wizji, nie było niesamowitego montażu, ale były zato naprawdę śliczne zdjęcia i fotografja stojąca na wysokim poziomie. Scenarjusz zupełnie prosty i nieskomplikowany, czynił wrażenie, że użyto go jedynie po to, by móc połączyć wspólną treścią ten cały szereg cudownych, prawie malarskich obrazków, jakie nam p. Szwedo pokazał. Zdjęcia Rynku krakowskiego, zdjęcia kościoła Marjackiego, robione z cukierni Europejskiej czy z Sukiennic, mogą śmiało stanąć obok najpiękniejszych zdjęć najsławniejszych operatorów. — Jesteśmy przekonani, że p. Szwedo posiadając w rękach odpowiedni scenarjusz, potrafiłby stworzyć naprawdę ciekawe filmy.

Cały pokaz wzbudził duże zainteresowanie (sala była prawie pełna) i stał się tematem rozmów na kilka godzin.

Al.



Gustaw Puchalski, twórca filmów „Zbrodniarz" i „Ekspresje mimiczne".



KRÓL DON JUANÓW. W żyłach Adolfa Menjou płynie krew baskijsko-irlandzka. Odkrywcą jego jest Charlie Chaplin, który umożliwił mu debiut w filmie „Kobieta z Paryża". Od tego czasu sława Adolfa rośnie. Celuje on w odtwarzaniu postaci zblazowanych kochanków i uchodzi za najelegantszego mężczyznę świata. Obecnie skronie mu już osiwiały, ale serce pozostało gorące. Jest dalej uwodzicielem. Ostatni film Adolfa Menjou, to „Tęsknota bez końca", w którym gra z Barbarą Stonwick. Premjera tego filmu odbyła się przed kilku dniami w Berlinie. Na zdjęciu Adolf Menjou z artystką Ruth Reager.

ZE ŚWIATA.

(Al)

— — „Bóg odpoczął siódmego dnia". Nie jest to najnowsza sensacyjna wiadomość prasowa, ale tytuł najnowszego filmu czeskiego reżyserji Lamacza, w którym Lamacz gra też główną rolę.

— — Jacques Feyder, jeden z najznakomitszych reżyserów europejskich, zaakceptował i opracował już scenarjusz swojego następnego filmu, który będzie miał tytuł „Wielka gra".

— — Legendarna postać sławnego pułkownika E. T. Lawrenca z angielskiego Inteligence Service, od dawna prosiła się wprost o zfilmowanie. Jest to jedna z najciekawszych postaci, jakie wyłoniła wielka wojna. Bujna ta i awanturnicza natura wzbudziła wiele niepokoju nawet u naczelnych władz angielskich. Obecnie firma Metro przystąpiła do zfilmowania jego awanturniczych dziejów. Reżyserem tego filmu będzie jeden z najzdolniejszych realizatorów Ernst Schoedsack, a główną rolę kreować będzie John Barrymore. Tytuł filmu nie jest jeszcze ustalony, będzie to albo „Król bez Korony", albo „Ucieczka od Sławy".

— — Najciekawszym prawdopodobnie czeskim filmem będzie komedja, w której grają razem Vlasta Burian i Karol Lamacz pod reżyserją M. Fricza, zaprzysiężonego reżysera komedji Buriana. Tytuł nie jest jeszcze ustalony.

— — Po powodzeniu, jakiem cieszył się film wielu gwiazd „Grand Hotel", zamierza firma Metro Goldwyn, nakręcić drugi film przy udziale prawie wszystkich swoich czołowych aktorów. Będzie to obraz o mocnej dramatycznej i sensacyjnej treści pod przypuszczalnym tytułem „Obiad dla ośmiu". Główne role grają: Marja Dressler, John Barrymore i Luonel Barrymore, Wallace Beery, Lee Tracy, Jean Harlow, Madge Evans, Ramon Novarro, Jean Hersholt i Edwin Maxwell.

— — Dwa wielkie dzienniki, należące do dużych koncernów prasowych Eclaire Journal i Cinepresse realizują obecnie wielki film historyczny p. t. „Od Wilsona do Roosevelta". Będzie to wiernie przedstawiona historja Stanów Zjednoczonych od roku 1916, daty wyboru Wilsona, aż do dni dziesiejszych. Film zakrojony jest na wielką skalę. Realizuje go Jean Arroy pod artystycznem kierownictwem Jacques Berra. Najciekawszym w tym filmie będzie okres wspólnego „panowania" Hoovera i Al Capona.

Film ten ma być pierwszym z trzech wielkich reportaży, jakie wspomniane przedsiębiorstwo zamierza w tym roku jeszcze nakręcić.

— — Słynny czeski poeta, reżyser i aktor — Karol Hasler jest równocześnie autorem scenarjusza, realizatorem i wykonawcą głównych ról w dwu filmach czeskich, a to w „Komedjancie" i w „Pieśni Wolności", produkcji A — B. Filmu.

— — W tych dniach kończą pracę nad montażem „Tunelu.., który Kurt Bernhardt nakręcił w Monachjum. Film ten zrealizowany jest na podstawie powieści Kellermanna z kolosalnym podobno nakładem kosztów. W wersji francuskiej zobaczymy Madeleine Renaud, Jean Gabin, Andre Nox i wielu innych.

— — Natalja Kowanko, której nie widzieliśmy lata całe, została zaangażowana przez Turżańskiego do „Pożaru nad Wołgą", w którym będzie grała główną rolę. W dalszych rolach wystąpi Michał Strogoff, po raz pierwszy we filmie dźwiękowym — i sławny już dzisiaj Valery Inkijinoff. Jest to wielki film czeski o międzynarodowej obsadzie, który nakręcają w kilku wersjach.

— — Do Berlina przybyła Annabella na premjerę swojego filmu „Promień słońca", który to film nakręcał Paweł Fejos we Wiedniu. Premjera ta stała się jednym wielkim triumfem Annabelli, znalazła się ona w Berlinie na ustach wszystkich, gdyż okazało się, że aktorka ta, występująca dotąd tylko w komedjach, posiada ogromny talent dramatyczny i może w krótkim czasie stać się jedną z największych tragiczek ekranu.

— — Wyszukiwanie tematów dla Borysa Karloffa nie jest rzeczą całkiem prostą, bo w scenarjuszu należy wykorzystać świetne zdolności charakterystyczne tego ciekawego aktora. Najbliższym filmem, jaki będzie on nakręcał, ma być „Sinobrody", realizowany przez Karola Freuda.

— — Viktor Mac Laglen i Edmund Lowe, którzy tak świetnie grali razem we filmie „Niewinny", (zobaczymy ten obraz w tym sezonie), nakręcają znowu razem następny film zatytułowany: „Żadnej kobiety więcej".

441